

Wies

W NUMERZE:

TADEUSZ ORLEWICZ — O Hiszpanii, Francji i Włoszech.
 ZOFIA RZEPLIŃSKA — Sztandary nad Helgolądem. MARIA JANION — Rodowody zdrady narodowej.
 BOGDAN WOJCIKOWSKI — Zdobycie biografii. BRONISŁAW CHECIŃSKI — Plebiscyt.
 LEONARD WALLICHT — Z dziejów Polesia. IRENEUSZ G. KAMIŃSKI — Dwie wioski.
 JAN NAGRABIECKI — Z notatnika literata. EDWARD MARZEC — Stołce wschodni.
 NIEGŁOSY — Gazetka ścienna. ZDZISŁAW WROBEL — Powieść toteżńska.
 GRZEGORZ TIMOFIEJEW — Powieść krajów demokracji ludowej.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 19. VIII. 1951 r.

Nr 33 (315)

JAN ALEKSANDER KRÓL

PO ŻNIWACH SKUP ZBOŻA

Żniwa prawie za nami. Żyto wszędzie już legło, kłosa po nim na pszenicę ozimą, jęczmień, owies i pszenicę jara. Ten drugi etap już się zaczął albo nawet się kończy, jak gdzie — północ, czy południe kraju, góry czy niziny, ciężka czy lekka gleba.

Ale wszędzie rozpoczęły się podorywki, omloty i skup zboża. Ekonomista powiedziałby, że w siódmym żniwach nowej Polski udało nam się połączyć już bezpośrednio rolny cykl produkcyjny z cyklem towarowo - rynkowym.

Polityk powiedziałby, że został w tym roku zacieśniony sojusz robotniczo - chłopski. Nie symbolizuje tego lata dożynki. One już się zaczęły od kłosa do kłosa w całym kraju. Słyszycie, jak turkotać zaczyna wozy, jak się sypie ziarno na punktach skupu? Chleb od wszystkich chłopów dla wszystkich robotników!

Jeszcze nie umiemy robotniczo pozdrowienia, stane chłopom na żniwa meldunkami z Czesłachow, Gorzowa, Miechowa, Wierzbicy, Piotrkowa, Andrychowa, Sieradza a już słychać jak na „wielkim placu budowy”, wokół tysięcy kombinatów, gigantów, kopalni i fabryk wzniosła się fala chłopskiego oddechu — nowe żniwa, pierwsza w dziejach wsi zarzucona transmisją od zbioru do zbioru, od chłopca do robotnika.

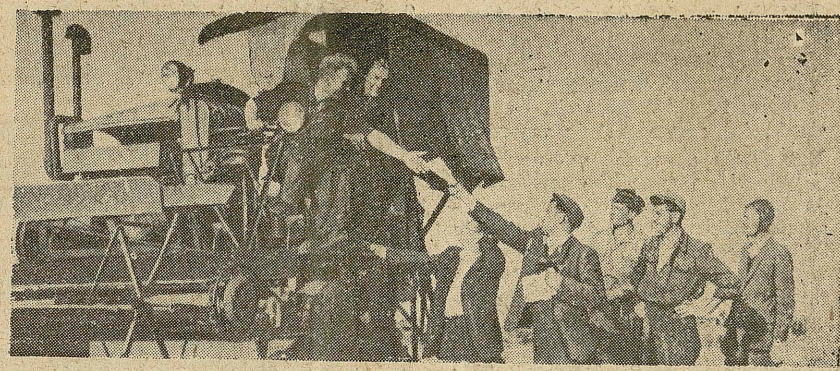
Czy myślicie, że mechanicznie

„Wzrost sektora socjalistycznego w przemyśle, w handlu hurtowym i detalicznym, wzmocnienie planowo regulujących funkcji Państwa w stosunku do indywidualnej gospodarki chłopskiej, wzmocnienie sektora socjalistycznego w produkcji rolnej i początek ruchu spółdzielczości produkcyjnej na wsi — wszystkie te fakty świadczą dobitnie, że w okresie Planu Trzyletniego Polska w sposób trwały weszła na drogę budownictwa socjalistycznego i poczyniła znaczny krok na drodze budowania fundamentów socjalistycznego społeczeństwa”.

Tegoroczne żniwa należą już do trzeciego etapu. Zrodził się rytm sześciolatki, okres, w którym ucieleśnia się w całym kraju, w każdym prowincjonalnym zakątku wsi, jaka już przed laty ukazywał Prezydent Bierut narodowi.

„Zbudujemy Polskę, w której nie będzie ciasných i brudnych izb, nie będzie niedzy i niedostatku, nie będzie głodu. Zbudujemy tysiące jasnych szkół, w których młode pokolenie będzie się uczyło budować szczęśliwą przyszłość. Rozkwitnie w naszym kraju nauka, szeroko otwarta będzie brama do wiedzy dla wszystkich... To, co było dotąd krępującą ideą, stało się ciałem w twardej rękach polskiego robotnika, chłopca, inżyniera i nauczyciela”.

Na Święto Odrodzenia znaleźli nasi koresponderci chłopcy czas



carni na kierat. Te liczby mają wymowę. Bo wcale nie wyrażają wypadku osobnoobionego. Wszak w tej kategorii gospodarstw do 2 ha — a było ich w Polsce 3.800.000 — ponad jedna trzecia posiadała przeciętnie na 100 gospodarstw... 13 wozów, 11 plugów, 11 bron zwykłych, ani jednej żniwiarki czy siewnika.

W Stanisławowie dziś do historii przechodzi lampa naftowa, żelazko na węgiel i młocka cepami. Zboże młóci „duchem” 12 motorów elektrycznych.

Przed wojną w tej wsi o półtora tysiącu ludności szkoła miała tylko 3 nauczycieli i program okrojony. Ale nawet dwie maturzystki pasły krowy.

Dziś nowa szkoła, posiada 7 nauczycieli, a wśród absolwentów liczy już sobie 12 nauczycieli i 8 studentów. Biblioteka zawiera 1200 książek, gazet na wsi 300. W uprawie teraz len, rzepak, koronaję, czego tu dawniej nie znano, a plony zbożowych podniosły się z 10 na 16 q.

Oto wieś Rokiciny w pow. brzezińskim. Teraz u nas jak w mieście — mówi matorolny chłop Franciszek Gorup — Bo tak, przystanek kolejowy wybudowany, spółdzielnia gminna jak się patrzy, spód na trzode chlewną i rozciąga się. Średnia szkoła Spółdzielczo - Handlowa i druga - Rolnicza są, bursy także same. Poczta nowiutka i Dom Ludowy nowy. Ośrodek Zdrowia jest, światło jest i kino stałe, SOM porządną, budujemy halę warsztatową dla szkoły zawodowej. No, nie miasto? Brakuje tylko fabryki!

Oto Potarzyca w poznańskim. Była to wieś poddworkowa, za „sasiada” mająca hrabiego. Każda matka, kołysząc dziecko, wiedziała, że piastuje hrabiowskiego farnala albo najemte sezonowego. Reforma rolna dała tej biedocie ziemię, i co potrafili pokazać w większości byli analfabeci? Wieś stała się w okolicy sławną ze swej gospodarki rolnej. Ma przodowników w hodowli bydła, w kontraktacji, w hodowli drobiu.

Pszenicy zbierają tam 20 q z hektara, buraka cukrowego ponad 300 q. Wieś kontraktuje 200 ha upraw, gdy przed wojną sadzono 5 ha buraka cukrowego. Dawniej hrabia chwalił się po okolicznych dworach uprawą 20 ha lnu, dziś chłop bez większego rozróżu ma lnu o 10 ha więcej, miesięcznie odstawią 10 tysięcy litrów mleka, 25 chłopców i dziewcząt dojeżdża do Krotoszyńska i Jarocina, do średnich szkół zawodowych. Na wsi 200 prenumeratów i żadnego już analfabety. A choć z gospodarki swej wieś mogłaby czuć się najbardziej dumna, kiedy pyta, odpowiedź pada zawsze ta sama — najważniejsza to nasza szkoła! Nowa szkoła, gigant wiejskiej „gabinetu gospodarstwa” — historyczny, „gabinet fizyczny - chemiczny”, „gabinet biologiczny”. Taka to chcieli mieć dawni farnale i niewolnicy hrabiego nową szkołę i takiej się dorobili. Elektryczność już zakładała wzdłuż drogi, która sami wybudowali.

Oto wioska Pobów w łowickim. Nazywano ją „podkulacznią”. Na sto dwadzieścia lat bowiem rodzin prawie sto dusiło się na karłowatych gospodarstwach przy braku koni, narzędzi i wyższej umiejętności uprawy. Ludzie ciskali się na wszystkie strony, aby znaleźć pracę dodatkową, choćby najbardziej dorywczą. O popowcach mówiono, że idą jak ryby w sieć. Zastawiał ją i sam Radziwiłł w Nieborowie i agenci, gdy budowano drogę z Warszawy do Łodzi, ale najgłębszej i stałe łowickie Boryny.

Cóż się dzieje teraz z Popowem? Cześć chłopów poszła na Ziemię Odzyskaną. 70 osób opuściło wieś, pracując w zawodach pozarolniczych. (10 w Łodzi). 65 dorabia na kolei, poczcie, dojeżdża do fabryk łowickich (nowonowosławskich). A co

z rolnictwem? Bardzo się podniosło. Wies uprawia obecnie 120 ha pszenicy (gdy przed wojną 40 ha), jęczmienia 24 ha (przed wojną — 15), lnu — 15 ha (przed wojną 4). A rzepak pojawił się dopiero teraz i od razu na 16 ha. Zbiory zbożowych podniosły się z przedwojennych 12 q z ha na 18 q. Trzody chlewniej i bydła sprzedaje Popów 240 sztuk, gdy przed wojną nigdy nie sprzedawał więcej jak 140 Maszyn rolniczych na całą wieś przed wojną było 7 (oczywiście u kulaków), teraz w samym SOM-ie znajduje się 55.

Nikt już nie młóci cepami ani nie sieje ręką. Pomoc sąsiadka, z której we wsi korzysta 4 rodziny a w gminie 30, pozwala na wyżywienie sprzętów i maszyn bez wysiłku i odrobku u kulaka. Ze wsi 23 osoby uczęszczają do szkół średnich a 4 do szkół wyższych.

Oto przepaść, jaka dzieli naszą wieś od przedwojenną. Oto nowe, jakie wyrosło powszechnie w ciągu siedmiu lat Polski Ludowej. Na takiej to wsi, jaka zarysowuje z grubszą przytoczoną przykład, odbywały się tegoroczne żniwa. Dlatego tyle w nich dynamiki i rozmachu, dlatego siła, jaką chłopcy rzucili w żniwa, wezbrała energią ponad zakres i zadania samych żniw. Można to było przewidzieć, należało to przewidzieć, i zostało to przewidziane planem — planem skupu zboża.

Pisaliśmy dwa miesiące temu o elementach nowej w naszym rolnictwie ofensywy. Wymienialiśmy pięć głównych elementów: POM-y, PGR-y, spółdzielnie produkcyjne, Centralny Urząd Skupu i Kontraktacji oraz Rady Narodowe.

Na tych odcinkach nastąpiło utrwalenie zdobyczy pozycji, przegrupowanie sił, zabezpieczenie rezerw i podciągnięcie tyłów, słowem — akcja, która nas przygotowała do nowej ofensywy, jaka wezbranej na wsi energii dała racjonalne ujęcie, jaka dźwignęła ją na nowy, wyższy etap walki o socjalistyczną organizację gospodarki rolnej.

Bo zważcie. Trzy troski główne, trzy zmyły wisiły nad chłopem przed wojną, w sanacyjnym, kapitalistycznym ustroju.

Jedną — toś dzieci. Druga — to aktualny stan zbędnych rąk, przełudnienie gospodarstwa, względnie jego szczytność, zagrażająca głodem i nędzą. I trzecia — mówiąc językiem ekonomistów — wykluczenie poza nawias rynku krajowego.

W obrazach wsi z siódmego roku Polski Ludowej zobaczcie czytelniku, że śladu już nie ma po dwu pierwszych zmożach. Przyszłość młodzieży staje się dziś powszechnie źródłem radości i dumy w chłopie i rodzinie. Dzieci czeka dobrobyt, awans i sława. Fakty w tym zakresie przeszły chłopskie wyobrażenia już na etapie kilku minionych lat. A żyje się przecież nie tylko tym, co jest, ale i tym, co będzie, co może być. Dlatego doliczyć wieść i pewność chłopską w jutro ich dzieci. Doliczmy ją, jako energię mobilizującą do pracy i do wstrastania w socjalizm.

Druga zmoż — niknie na oczach. Wzrasta z roku na rok odbyły do prac pozarolniczych, co więcej, rosną ambicje na przeszerzowanie się do klasy robotniczej. Rosnie wżasnianie się z pracą fabryczną na miejscu (z dochodzeniem, lub dojeżdżaniem). Czy wiecie, że Wierchosławice, rodzinna wieś Witosza a nie mała — 1700 ludności — w 80 proc. jest wsią chłopską - robotniczą? Chłopi dojeżdżają do fabryk w Tarnowie, Mościcach, Chorzowie Niech nam to również przypomni, że 80 proc. domów, słuchając przed la-

(Dokończenie na str. 2)

*) St. Cieślak — Elementy naszej ofensywy — „Wies” Nr. 23.



JAN KOPROWSKI

BIAŁOSTOCCZYŻNA

Piękna jest ziemia — Białostoczczyzna. Jakaś osada o nazwie Blizna. Jesz ze dziś wiążę w alej i kasztany liż liskami wojenne rany.

Wioszczyzna Boczków wśród pól i ścieżyn gdzieś na uboczu, na sronie leży. Ziocą się w słońcu lipcowe pola, trawa na łąkach bydło do kolan.

Pamięć notuje. Oto Stawiska — od nizin, krzaków, od rozlewiska wód, które wieją w upały chłodem. Pójdźmy nacieszyć oczy nad wodę. Pójdźmy zobaczyć, jak rośnie co dzień życie. Niedawno w Nowogrodzie most przerzucono z brzegu na brzeg.

Pójdźmy mostem tym w nowy wiek, w czasy przyjazne ludzkiemu szczęściu, kiedy brat bratu nie będzie pięścią wygrażał. Kiedy człowieka wróg nie będzie palił i niszczył mógł.

Piękna jest ziemia — Białostoczczyzna. Patrę, jak tutaj nasza oczyzna rośnie. Myśl śpieszy naprzód i dąży, gdy już w miasteczku, dziś małym — Łomży, powstaną jutro nowe budowle. I ludzi tutaj sto tysięcy zamieszka. Może nawet więcej. Miasto zasłumi pracą i gwarem, gwarem tym wzbierze rzeka Narwa, o brzeg uderzy, w zakręty, wiry...

Poeta przyjdzie — młodzieńki liryk, popatrz wokół — na olchy, iwy i wiersz powstanie — wiersz prawdziwy.

Piękna jest ziemia — Białostoczczyzna. Opisać ciebie, ziemio. Wyznać tobie, że krzepisz serce, cieszysz. Serce się niecierpliwi, śpieszy do miast i siół, które nas wodzą w przyszłość kraju — w jego młodość.

Ciesz nas ludzie, sprawy, dzieła. W Białymstoku, nowiutki teatr, domy, Medyczna Akademia, od której ulgi życia i ziemia doznają. Człowiek nie będzie cierpiał w czas zim i lata — grudnia i sierpnia.

Mruga wesoło do nas światelko w jakimś Grajewie, Sokółce, Elku. Ciągną się w górę rusztowań cielska w jakimś Goldapie, Oleku, Bielsku. W ziemi żyzna, barwna — niepuszta — wpiął swe jeziora Augustów.

Nad ich brzegami, pośród sosen, wygrzewa w słońcu nogi bosc człowiek, który po rocznej pracy na wypoczynek przybył i wczasy. Patrzysz na ludzi i cię nie dziwi, że jest tu jakiś mechanik z Gliwic, górnik z Katowic, chłop spod Warszawy.

Słońce w jeziorze jak ptak się plawi, pluszczą wiosła, chwileją się trzciny, falą powietrza drga głos dziewczyny.

Spotykasz młodych chłopców z Albanii, chodzą po lesie i nad brzegami, Koreańcy, Hindusi, Bułgarzy z sercem braterstwa pełnym i marzeń.

Wśród nich studenci z Wrocławia, Łodzi, Krakowa, Gdańska.

W letniej pogodzie wielojezyczny gwar się mieni na białostockiej, ojczystej ziemi.



można by doczepić omloty i skup zboża do każdego żniwa? Sto i sto pięćdziesiąt lat w kapitalizmie nie wystarczyło na taką racjonalizację, bo taka racjonalizacja na początku wymaga rewolucji, a następnie tworzenia się narodu socjalistycznego, narodu wolnego od mechanizmu wyzysku i wyzyskiwaczy, ojczyzny robotników i chłopów i ich inteligencji.

Kto się choć trochę zastanowił nad tegorocznymi beczkośrodkami omlotami i beczkośrodkim skupem zboża, tego uderzy oczywisty fakt: siła i dynamika żniwa na wszystkich wschodach w Polsce.

Kiedy Prezydent Bierut mówił do narodu w r. 1945: „Nie macie innego chleba, prócz tego, jaki własną pracą wydrzećcie ziemi. Czynną będą tylko te fabryki, które sami uruchomicie. Praca ciężka, ofiarna, wśród wyrzeźbienia — to jedyną co mogła nam dać wyzwolenia Ojczyznę” — inne były wówczas: treść, rozmiar, narzędzia i sposoby wydrzania ziemi ziarna.

Inne żniwa. Ciężkie jeszcze, pełne wyrzeźbienia i ofiar. Kulackie konie, kulackie wyszabrowane motorki i maszyny brały jeszcze masowo w niewole biedotę. Jeszcze pod firmą „ludowca” wielu kulaków udało się „urzędowo” przydzielić selekcyjne ziarno „dobrym gospodarzom”. Jeszcze na niejedną Radę Narodową wnieśli oni żądanie odwołania robotników od fabryk, dźwiganich z ruin, na żniwa do „dobrych gospodarzy”.

Jakże już inną była treść i sens żniw ostatniego roku Planu 3-letniego, kiedy Prezydent Bierut tak charakteryzował nowy etap:

i ochotę w gorącej porze żniwnej, aby obejrzeć się na minione siedem lat i zsumować przemiany ilościowe, które, jak sam” to podkreślają, nie wiedzieć kiedy nabrały już wagi innej, nowej jakości.

Nie wolno nam odrywać żadnego etapu pracy, żadnej wielkiej zbiorowej akcji od świadomości już narosłej historii, już wykutej przez „dwadzieścia pięć milionów Polaków, oddanych bezgranicznie Polsce Ludowej, Ojczyźnie naszej, krynicy naszych natchnień i czynów”.

Tej lekcji udzielała nam korespondenci. Oni przypomnieli, że to nie tylko siódme żniwa, ale w siódmym roku, kiedy naród nasz staje się socjalistyczny i uświadamia sobie tę wielką przemianę. Do jakiej to bowiem metody pobudził naszych korespondentów z różnych stron kraju ów siódmy rok a drugi sześciolatki? Do opisu, w którym główna metoda stanowi porównywanie lat przedwojennych z nowymi. Owszem, jest tu i chronologia i kronika, ale nad tym góruje coś znacznie ważniejszego: porównanie narodu w kapitalistycznej niewoli z narodem w socjalistycznej wolności i rozkwicie.

Oto Stanisławów Dolny w pobliżu Kalwarii Zebrzydowskiej. Ludności około 1500. Na 368 gospodarstw przed wojną do 3 ha było 313. Pięć szóstych gromad skrajała biedota. W dziejach tej wsi najmocniej zapisały się rozpacze wędrownicy za pracą, wyjazd do Ameryki, Francji, Belgii i Niemiec. Dziś wieś przemieniła się w osadę chłopsko - robotniczą. 290 osób pracuje w Andrychowie, Nowej Hucie, Krakowie i Kalwarii. Przed wojną było we wsi 45 koni i 7 mło-

SKUP ZBOŻA

(Dokończenie ze str. 1)

ty filozofii o stanowej odrębności chłopskiej, głodowało na hektarze, na mordzie.

I tu również fakty, a już ostatnio wywołujące się „wielki plac budowy” w obecnym, drugim roku sześciolatki i ów milion ludzi, zakładających nową bazę dla produkcji — z nieodpartą siłą odrzucają resztki wątpliwości o jutro pracy, zarobku i dobrobytu. Bo ta perspektywa ukazuje możliwość nie samego tylko odłudnienia wsi i nie byle jakiego ale pomyślnego, godnego pozazdroszczenia.

Zabicie tej zmyły i pewność, że nie powróci, że przeciwnie jeden brat będzie chłopem, a dwóch robotnikami, toteż energia mobilizująca do pracy i do wrastania w socjalizm.

Upamiętnijcie sobie, jak wyzwanie od tych dwu trosk — a tak szczególnie widoczne już w drugim roku sześciolatki — mogło i musiało skoncentrować chłopów na produkcji rolnej i zrewolucjonizować w gospodarce. Nie myślimy tu wyłącznie o szczelub najwyższym — spółdzielni produkcyjnej. Bo trzeba być głuchym i ślepyim aby mniemać, że budowanie fundamentów socjalizmu zmienia wieś w PGR-ach i spółdzielniach, a nie zmienia jej równocześnie uszczęśliwiać.

Revolucja agrarna w masowej wsi indywidualnych jeszcze fermentuje podskórnie, jeszcze nie wyciąga pełnych wniosków i decyzji, ale już łamie stare normy i nawyki pracy, stara organizację rodzinną i patronacko — klasową, już ma legion przodowników, skoro wieś „złapała się” za nawozy, maszyny i kontraktację, skoro zwiększa wydajność i zbył. A na tej linii stoją niezbita, milionowe fakty — liczby, rosnące wciąż liczby — wskaźniki produkcji.

Jesteśmy tedy przy trzeciej zmo-rze, która była przed wojną prze-kleństwem chłopskiego urodzaju, a która w Polsce Ludowej została zmieniona z powierzchni życia społeczno — gospodarczego. To sprawa rynku. Kiedyś miał średniak, a nawet ty, biedny chłopie nadwyżkę towarową, albo musiał sprzedać, a broń Panie Boże sprzyjał ci urodzaj, zaczynała się dla was apokalipsa — skacząca i miążdżąca gieda rolna. Początek tej apokaliptyki widać już było na wsi w osobach kulaków, sklepikarzy, wędrujących handlarzy zboża, bydła, nierogacizny i drobiu, potem na targowisku w miasteczku, dalej zmore metniala, a przecież tam właśnie, dalej miała ona swoje utwierdzenie. Symbolizowała ją dla całego narodu rzad, określając ją ustrojem, dawał jej treść i formę kolonialnego rabunku rozpanoszonego monopolu imperialistycznego.

Utarło się powiedzenie, że chłop młoci od jesieni do późnej wiosny. Była to prawda, ale częściowa, bo ledwie żniwa przeszły, chłop już młocił, aby na gwałt zaspokoić „skup zboża”, regulowany... gieldą kapitalistyczną.

W tych samych wsiach, któreśmy przykładowo ukazali czytelnikowi, wyglądało to tak: „Najlepiej w czasie — wspomina korespondent — była dla chłopów pora po żniwach, bo zgłaszał się handlarz, który, „był bardzo straszny”, skoro w maju na przedwiośnie, pożyczyl 2 metry a teraz żądał 4, zjawiał się komornik, urzędnik gminny, kulak „za pomoc” w żniwach, nakaz płaciewicz za pożyczkę kredytową, a tu trzeba było kupić dzieciom ubranie, buty na zime, książki do szkoły, obić wy-karmić świnię i...”. Biedniak i średniak mieli zatem natchniętą „skup zboża”. Goźnia śmier-telna już wówczas wybiła. Zaczynało się konanie. Jesienią, wypusz-czony metr żyta wartal 8 zł. („o gieldo codzienna” w rękę kapita-listów) na wiosnę — 15 zł. Chlopie biedny — tuś najbardziej plasty-cznie widział, jak się dwukrotnie rabują, przy sprzedaży jesiennej i kupnie wiosennym, jak dźbia na twoje zniszczenie i proletaryzację. Jak sztycha sobie z twojej pracy, jak czas w ich manipulacji cwa czyni z wartości twojego pro-dukту, ale takie, że kiedy ta wartość spada, bije w ciebie, kiedy wzrasta, też bije. Byłeś zawsze za-dłużony, a życie uczyło cię, że za pożyczony 500 zł kupiona krowa (np. w r. 1931) już w dwa lata po-tem kosztowała 150, o tyle mniej płatne było mleko i mięso, a więc dochód z tej krowy.

„Uczeni” gieldziarze nazywali to „kleską urodzaju”. Pisywali np. „Stan pół zmiennaczanych w Polsce każe się spodziewać w roku bieżącym rewolucyjnych zbiorów”. Wi-dać, że się cieszyli, ale cieszyli się dlatego, że „w przewidywaniu do-brych zbiorów ziemniaków ceny te-go artykułu kształtują się na nie-notowanym dotychczas niskim po-ziomie”. A jak ich cieszyły „cykle świnińskie”!

Stalę ubożenie klasy robotniczej, nekanej krzyżami i bezrobociem sprawiło, że kurczył się rynek we-wnętrzn, spadały ceny rolnicze. W latach 31—37 wartość produkcji rolnej spadła o 40 proc. a chłopski zakup artykułów przemysłowych skurczył się o 50 proc. co oznacza-ło, że małorolny i w poważnej czę-ści średniak zostali wyrzuceni poza nawias gospodarki narodowej i rynku krajowego.

Wprowadziła z powrotem masę chłopów na rynek narodowy w charakterze producenta i konsumenta dopiero Polska Ludowa, bo też ona tylko mogła to uczynić. Tylko rewolucja i droga do socja-

lizmu. Ta droga budowana była i jest etapami.

Nacjonalizacja przemysłu obcią-za pażury imperialistycznemu mono-polowi, który rwał żywe ciało na-rodu, obalała krajowy wielki kapi-tał przemysłowy i obszarnczy. Re-forma rolna dała warsztat pracy i produkcji rezerwowemu armii pro-letariatu wiejskiego, dalej oddłuże-nie mała i średniorolnych, dalej umocnienie klasowej polityki kre-dytowej, podatkowej i kontraktar-cyjnej — wszystkie te działania ra-zem wprowadziły na rynek wiele milionów, nieaktywnych dotych-czas gospodarce chłopów, spycha-nych przed wojną do stanu gospo-darki samowystarczalnej.

Alle rynkowi chłopskiego zbytu wiele jeszcze groziło z dawniej prze-życi. Przede wszystkim to, że był „wolny” tzn. jeszcze w niewoli spekulacji, cyklów, wahań, inspiro-wanej paniki, wścieklej konkuren-cji kulaków i monopolu handlarzy.

Alle pamiętamy wielkie bitwy — o planowy skup ziemiopłodów i produktów hodowlanych — o han-del uspołeczniony — o stałe ceny. Należą już one do historii naszych

że brzemień najcięższe, jakie z jego bark zdejmowała rewolucyjnie Pol-ska Ludowa — uwalniając go od zagrożenia przed rabunkiem pro-duktów jego pracy — że to brzemień już zdjęte, czy prawie zdjęte, jesz-cze miało moc straszenia chłopów, właśnie przez to, że nikt, mogło zniknąć. Ze wycięcia została gwał-townie dzungla „wolnej konkuren-cji” i chłop się zobaczył człowiekiem pracy na przeciw drugiego człowieka pracy, w fabryce. Jak to, nie po-nad to? Nie ma już piekła na ziemi? Pół wychowania, pół umiejętności, połowa myśli i uczuć chytrych, a za-razem rozpacz pełnych, nagle za-wisły, jak podcięta gałąź.

Alle nasza powojenna rzeczywistość nie rozwijała się przeciw-tylko na tej osi. Nie stoi więc spra-wa tak, że w opróżnionej nagle du-sze chłopów wlewamy nowe życie. Sprawa stoi inaczej. Chłop szedł do nowego przez walkę, rozwijając się w sojuszu robotniczo — chłopskim pod władzą dyktatoru proletariatu. Handlarska jego dusza atakowała najpierw i najmocniej opisaną przez nas owe dwie wielkie radości na miejsce dawnych wielkich trosk: szczęśliwa przyszłość dzieci i pew-ność na dziś i na jutro pracy i do-



bogactw w nowe treści powojennych lat. Ich jednak zwycięskie osiągnię-cia położyły fundament pod nową rolę rynku narodowego i pod nową do niego stosunek mas chłopskich. I on ma oblicze socjalistyczne — sprawiedliwej, ustalonej, społecznej wymiany pomiędzy rolnictwem a przemysłem, pomiędzy chłopem a robotnikiem, w Polsce robotniczo-chłopskiej.

Raz na zawsze wyrwany został rynek z rąk kulaka, handlarza i spe-kulanta. Uchylone dawne, a stale dla mała i średniorolnego zagrożo-nie Ustalona opłacalna cena produk-tów. Rozbity zatem i kruszający się z roku na rok kapitalistyczny system jarmarków i targów — tragedii chłopskiej. Mało bowiem, że się chłop napracował, ale odtąd trzeba było wejść na drugi etap zabiegów, aby móc sprzedać, aby zyskać, aby nie stracić.

Cały ten olbrzymi w czasie cykl rozłożony na osobobne i rozdrob-nione straszliwe gonitwy i transak-cje, cykl gubiący chłopów w kalku-lacji i obliczeniach, trzymający w napięciu i lęku przed stratą i w nie-pewności, czym zagrozi gielda w następnym miesiącu, kwartale i ro-ku, cykl marnotrawicy czas, siły i rozgorączkający do samej pracy produkcyjnej — okazał się w no-wych warunkach ustrojowych bez-sensem, możliwym do zwalczenia, do racjonalnego zredukowania i za-mienienia tej zmyły na radość, bo korzystny i sprawny, bo ryczałto-wo zbyt zaplanowanych i zakon-traktowanych upraw i hodowli.

Pisał kiedyś Bojko o dwóch du-szach chłopskich: pańszczyźnianej i obywatelskiej. „Obywatelska” w kapitalistycznym ustroju również ulegała rozszepieniu: na duszę człowieka pracy i na duszę chłop-handlarską. I na plan pierwszy, zaiste, wystąpić musiała ta handlarska i spekulacyjna. U mała i średnia-rolnych wyrażała ona oszalałą z trwo-gi obronę ludzi, zagnanych w dzun-gle „wolnej konkurencji”.

Chłop przemysliwał się w tej dzungli, pod pachą ścisnąjąc dorobek roku, kluczył jak ścisnąc zwie-rzę, chytrył, zawsze jednak wysta-wiany do wiatru, zawsze upolowany przez kulaka, handlarza, komornika, licytację, przez wielkie burze kry-zysów i szakali Lewiatana. I ta psychologia „dzungli”, choć niena-widził jej, jak niczego bardziej, sta-ła się jego drugą „naturą”. Zara-ziła biedniaka, zaraziła średniaka — ofiary tej dzungli — zaraziła kon-stytuującą samo pojęcie życia — wiarą, że orać na swojej ziemi to dopiero jedno, a spekulować z zie-mią, jej płodami i groszem z niej — to druga, rozstrzygająca konieczność.

Tak krótki w rzeczy samej pro-cas jak — wymiana produktów — nabrał w kapitalizmie apokalipty-cznych rozmiarów, przesłonił pro-dukcję, uzależnił ją od żerowiska monopolu finansowego.

Trzeba wczuć się w tak skazaną psychologię chłopów aby zrozumieć,

brobytu dla zblednych na roli. W tych procesach pogłębiał się zwą-zek chłopów z ziemią, jako warszta-tem pracy. Im szerzej otwierał się dla niego rynek narodowy, im bar-dziej ustalał się jako uspołeczniony przebieg produktów sojuszu ro-botniczo-chłopskiego, tym bardziej skupiał się chłop na pracy, tym sil-niej był porwany możliwościami nowatorstwa w produkcji, tym pe-wniejszy, że chodzenie około ziemi, ono tylko rozstrzyga o jego dochodach.

Polska Ludowa czyniła i czyni co tylko w jej mocy, aby przekonać chłopów, że wielkość naszej Ojczy-zny, jej dobrobyt i znaczenie tkwi w entuzjastycznie naszej pracy, w tworzeniu do niej stosunku. A prze-konywała dając ziemię z reformy rolnej, klasowo rozkładając podatki, umarzając przedwiośnie zadłużeńia, idąc z pomocą (przez produkcję klasy robotniczej, przez gigan-tyczny rozwój bazy) w nawozach, maszynach, kredytach, kontraktacji, społecznym handlu, stałych cenach, w zaciągu do szkół, zawodów, w elektryfikacji, spółdzielczości, rosnącym zaopatrywaniu w towary przemysłowe, w masowym upow-szechnianiu kultury itd.

Jesteśmy dziś przecież — jak to się mówi — w epoce POM-ów. Na wsiach widać już, jak masowo rozwija się racjonalizatorstwo i przedwiośnie w uprawie, hodowli i organizacji produkcji.

Wszystkie te razem przemiany na tyle podrosły, że w roku bieżącym można było zbyt chłopskiego zboża ustalić bezpośrednio na okres po-ziomny, że można było nadać mu charakter rzeczywistej wymiany w sojuszu robotniczo-chłopskim. Do-świadczenia przy skupie zboża w roku ubiegłym nauczyły nas wiele.

W gospodarce chłopów, jej wielko-ści, gatunku jej gleby, rodzaju u-praw, zaawansowaniu w hodowli, w ilości sprzętów i narzędzi, w liczeb-ności rodziny i stanie zdrowia tkwi rzeczywista wysokość płońów i sto-pień jej towarowości. Od lat regu-lowana planowo gospodarka chlo-pska przez państwo, dała się ściśle w Centralnym Urzędzie Skupu i Kontraktacji obliczyć i nasunąć najbardziej sprawiedliwe normy, przy których dla wsi polskiej skup zboża stała się sprawą sprawiedliwej wymiany i zbytu, dlatego sprawa pilna i krótka. Nie ma już dzun-gli ani żerowiska, nie trzeba się le-kać, zwlekać i kombinować, a nie wolno już spekulować i wyzyski-wać.

Na produkty wielkiej fabryki chleba od jednego do drugiego krańca kraju — czekają miasta, czeka klasa robotnicza „na wielkim placu budowy”. A dla ludzi wielkiej fabryki chleba, z chwilą wy-produktowania stół również sprawa interesu i honoru: oddać go do spożycia i kupić dzieciom buty, ubranie, książki, nawozy na siew se-nienny i żyć z pełną pewnością na cały rok i z jeszcze większą na la-ta następne.

Jan Aleksander Król

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

DWIE WIOSKI

O D zamierzczłych za-pewne czasów rywali-zowały ze sobą dwie wioski: Góra i Zalesie. Rzecz zrozumiała, że ja tych zamierzczłych czasów nie pamiętam, ale tak sta-rzy opowiadali. Przypominam so-bie natomiast okres międzywojen-ny (byłem wtedy smarkaczem), gdy w Górze sołtyś Michał dostął na ten przykład nakaz malowania na białe parkanów i bieleńia latryn.

Z Góry do Zalesia były dobre 3 km i pech chciał, że staremu Krzy-żaniakowi, który listy rozwioził ze-psuł się rower. Był w rozterce, czy zanieść jeszcze tego dnia nakaz także do Zalesia, czy nie. Po dłuż-szej jednak rozmowie ze swym ur-zędownym sumieniem zdecydował w sposób zgola nieurzędowy:

— Nie będę 3 km. na piechotę dymał. Świat się nie zawali. Jesz-cze mnie po drodze kto napatoli, torbę zabierze i państwowy dekret.

W ten sposób zalesiacy dowie-dzieli się dopiero następnego dnia, w jaki sposób premier Sławoj-Składkowski chce się przyczynić do podniesienia warunków zdro-wotnych i wyglądu estetycznego wsi. Wczorczem chłopcy pasące by-dło w pobliżu Góry donieśli, że „tamtejsi” odkryli w sobie zdolno-ści malarskie i wypróbowują je gwałtownie w miejscach przeżwa-nie tylko rano uczyszczanych.

Karczmarz Chytek zaprzął kasz-tanki i pojechał na zwiady. W nie-całą godzinę wrócił galopem i na-robił takiego alarmu, jakby się ko-ściół pod ziemię zapadł. Gospoda-rze zebrałi się na przedce u Chyka. Trzeba wyjaśnić, że tak w Górze jak i w Zalesiu „gospodarz” mowi-ło się tylko na takiego, który miał 20 ha i 2 konie.

Otóż w czasie tej narady zabierał głos sam wachmistrz policyi. Nie będę streszczał państwowo — twó-rzych wywodów ani jego, ani sołt-sa Kluki, ani Chyka, który swoją orację zakończył okrzykiem: „Stawiam kolejkę dla wszystkich!” Nie wiadomo czy w rezultacie tych przemówień, czy owej wspaniało-myślności kolejkę, ale fakt, że zarekwirowano wapno, przeczno-żone do remontu szkoły i wszystkie pedzle, jakie można było w Zalesiu znaleźć.

Długo w noc trząskaly drzwi od wychodków i psy ujadaly, ale nim świt nadszedł Zalesie było po-dobne do Góry jak dwie kropke wody. Kilka murowanych budynków gospodarzy oraz rozwalające się chałupki średniaków i skłcone z de-sek budki bezrolnych za wsią, na tym tle białe plamy pomalowanych wapnem obiektów.

Nie mogę nie wspomnieć, że z po-wodu tego malowania średniak Ko-rab siedział trzy miesiące w aresz-cie. Przyszedł do niego wachmistrz z Kluką i pytał go:

— Gdzie masz ustęp?

— Nie mam — odpowiada.

— A gdzie chodzisz s...?

Korab wykonał ruch ręką, obej-mujący pół horyzontu.

— Do jutra postawisz wychodek.

Korab na to: — Nie postawię.

Oczywiście — jawny opór wła-dzy. Wachmistrz się wściekł.

— Nie postawisz bratku, nie? Zo-baczmy. A powiedz, dlaczego nie postawisz, no?

— Bo nie mam desek.

— To kup!

— Za co? — Ale nawet gdybym miał nie stawiałbym wychodka, tylko naprawiłbym sobie dach. Ot — jak sprawa stoi.

— Ach to tak — odsapnął jado-wicie granatowy. — Biorę was Klus-ka na świadka, na to coście tu usłyszeli. Powiada, że zawsze będzie się sprzeciwiał władzy. Sporządźmy protokół.

W parę dni później zabrali Korab. Siedział 12 tygodni w śledztwie, potem go przez pomyłkę wypuścili. A ustępu nie postawił.

W Górze, niedaleko kościoła stała karczma. (Zresztą każda niemal karczma na wsi była przeznaczo-na w pobliżu kościoła). W Zalesiu tak samo. „Gospodarze” szczylić się swymi „gościńcami”, jak się w tych stronach nazywało alkoholo-we przybytki.

Poza tym „gospodarze” bili parob-ków za łada przewinięcie albo wyrzucali „na zbyty łeb”, średniacy robili drugi i spędzali wieczory na kontemplacji, zastanawiając się co mają robić w razie nieurodzaju: sprzedać ziemię, spłacić długi i iść na służbę, czy też po prostu upić się i powiesić. Bezrolni nie mieli czasu na rozważania. Harowali od świtu do zmroku na bogaczy, a po powrocie do domu albo dzieć płodziłi, albo dźwigałi je w nieocieso-nej trumnie sami, żeby było taniej — na cmentarz.

Podczas wojny nie myślałem ani o Górze ani o Zalesiu choć wiele wspomnień — trochę z tymi stronami. Skłonność do zapomnia-nia rzeczy przykrych jest podobno błogosławieństwem ludzkiego cha-rakteru. Bylibym z pewnością w ogóle utopił owe czasy „w morzu zapomnienia” — żeby się poetycz-ko wyrazić — gdyby nie przypa-dek.

Kilka dni temu przeglądając ga-zety, między meldunkami z akcji zniwnej zauważyłem niedużą wzmiankę: „Gromada Góry wywa-gromadę Zalesie do współzawo-dnictwa w przedterminowym zako-ńczeniu zbiorów”. Góra — Zalesie? Nie uwierzcie. Nagła, niewytlu-maczalna potrzeba... jak wilka do lasu porwała mnie do góry.

Gdy przejechalismy debowy la-sek zatrzymałem auto i wyszedłem na nieznaczne wznieślenie, skąd jak na dion widać było całą Górę. Często, jako chłopiec, siałem na tym wzgórku, licząc kamienie na dachu Koraba...

Alle po Korabowym obejściu nie zostało ani śladu. Natomiast obok samotnej brzożki, która wyrastała kiedyś na wprost okna, prowadzi-ła brukowana droga, a z obu stron nieco dalej czerwienily się dachy dwudziestu domków. Dwudziestu, bo przeliczyłem. Kilkadziesiąt me-trów dalej długie, przysadziste go-spodarskie zabudowania. Ho, ho! to pewno stodoła, tamto chlewnie, a w tym budynku z cyfrą 1951 ułożoną z jasnych dachówek będą stajnie. Wszystko murowane; z desek była natłoczona zapała, jak można sądzić z paru pługów stojących u rozwartych wrót. Dalej ku hory-zontowi — potulne, jakby do ziemi przypadły w podstępny oczeki-waniu, wznosiły się budynki „go-spodarzy” (nazwałem ich teraz po imieniu: kulaków).

W osiedlu spółdzielni produkcyj-nej Góra panował spokój; wszyscy, jeśli nie liczyć gromady dzieciarni i czysjęs głowy, która za nami wy-jrzała, byli na żniwach. „Fiat” prze-sunął się uliczką; czulem jak serce mi walilo. Człowiek miewa czasem takie wzruszenia. Pojechalismy do wsi.

Na ścianie karczmy, przepaszam — świetlicy gromadzkiej, bo od ro-ku mieściła się tu świetlica — wi-dniał wielki afisz, donoszący o ze-braniu wszystkich chłopów groma-dy właśnie tego dnia. „Narada po-święcona będzie skupowi zboża” — głosił napis. Ponieważ do wyzna-czonej godziny było jeszcze sporo czasu, oczywiście jada do Zalesia. Co w Górze to i w Zalesiu. Tak zawsze bywało. Spółdzielnia zatem „murowana”.

Nie pomyliłem się. W Zalesiu też jest spółdzielnia produkcyjna i coś więcej. POM, którym kieruje dawny czeładnik kowalski Bosun. Przywitał nas zdziwionym spojrze-niem, unosząc na chwilę głowę znad nabrawanej żniwiarki, ale ty-lko na chwilę. Opodał stał chłop, si-ły zupełnie, trochę podobny do Zagłoby. Zagadnałem go:

— Nie wiecie, co Chytek pora-bia?

— Pewno go diabli wzięli — od-murknął, patrząc na mnie podej-rliwie, jakbym był kompanem karczmarza.

— Nie żyje? — sądowałem ostrożnie.

— Kto go tam wie! Z bandami kumał, to go i zamknęli.

— A co z karczmą?

— Mamy tam spółdzielnię gmin-ną.

„My mamy spółdzielnię” powie-dział, a nie np. „tam jest spółdziel-nia”. Może to trochę śmieszne, że-by tak ludzi po słówkach s-dzić, ale z reguły ile razy zlapałem kula-ka zawsze mawiał: „Oni założyli tam spółdzielnię”. On się do „nich” nie zaliczał, on „ich” nienawidził i ta nienawidź wypelzała szparkami zmrużonych oczu.

Bosun wywał spod żniwiarki i zaczął poganiać dwóch chłopaków w kombinizonach.

Wstąpiłem do świetlicy. Stół pre-zydzialny obity czerwonym płótnem jak w tysiącach innych świetlic. Natomiast kwiaty, barwne kwiaty w ładnych wazonach — tego tak łatwo nie spotkać. Podobnie firan-ek. Niby drógi, a ileż sprawiają radość komuś, kto po latach nieobecności zwiędza rodzinne stro-ny.

Ludzi było sporo, rozmawiali z ożywieniem. Coś jakby dalszy ciąg wczorajszego zebrania. Anim się obejrzał, a już mnie ciagnie prze-wodniczący Gminnej Rady Narodo-wej Kozubek, jeden z biedniaków, który nie brał przed wojną udziału w premierowskiej akcji zbierania ekstrementów. Ciagnie mnie więc Kozubek do gazetki ściennej i po-wiada:

— Patrz bracie, nasi ZMP-owcy namalowali, jak to kulacy z naszej okolicy wyobrażają sobie skup zbo-ża. Kopia dranie podziemne maga-zyny.

— A których kulaków wolicie — swoich czy Górzaków?

— Tyś, Kamiński, jaką akademię skończył, że tak głupio gadasz? Nie ma naszych i nie naszych kulaków. Wszyscy są nie nasi.

Powiedział to Kaczmarek, znany we wsi radykal. Ten ci dopiero wo-jował z granatowymi. Miał dziesięć razy tyle mandatów i protokółów, kar i aresztów, co lat.

— Ja ci tu zrobię wykład o ku-

łakach. Kulak to jest taki... Skrzyp-niewski — rozumiesz?

— Nie rozumiem, dlaczego Skrzypniewski?

— Stuchajcie ludzie, kto zesze-gro roku pierwszy odstawił zboże. Ja czy nie ja?

— Ty — odrzknęli zebrani.

— A kto musiał jeszcze 300 kg dorzucić?

— A no ty.

— A jeszcze 200?

— Tyż ty.

— Powiedzie teraz Kamiński-mu czy ja jestem bogaty?

— Iiii... na wychodek cię nie by-ło przed wojną stać. Biedniak i ty-le.

— Powiedzie teraz, kto mnie tak urządził?

— Skrzypniewski, bo się wóli-znął do trojki zbożowej.

— Tak Kamiński, ten kulak to zrobił. My plan wykonali, a oni przetrzymali zboże i taki by nam jarmark na przedwiośnie urządziłi, że hej! Ty, że uratowała nas po-moc państwowa, przynajmniej ta-kich jak ja.

Nie odegrałem w walce klasowej na terenie mojej gromady specja-lnej roli, nie uczestniczyłem nawet jako obserwator w zeszcioroczny skupie zboża. A jednak tego wie-czoru stałem się centralną osobą dyskusji, o tyle przynajmniej, że zapalenia zalesiacy zwracali się sta-le do mnie. Oto Nowak:

— Wiesz, com się wstydu zesze-gro roku przez kulaków najadł? Ziemię mam złą, licho do tego ob-rodziła, zachorowała żona. Furę pieniędzy wywoziłem do miastecz-ka. Planu nie wykonałem, ale czy się kto spytał dlaczego? Namalowa-li mi na płocie, że kulak i zło-dziei! Nowak — złodziejem! Skrzyp-niewski se wykominiował, że be-dzie dobrze, jak średniaka i ludo-wca nazwa złodziejem, wapno roz-dawał za darmo, a głupi zamiast ja-mu namalował mnie.

Wtrąca się Kozub.

— Wstydło to nie tylko wyście się najedli — Nowak, ale cała gromada. Górę w gazecie opisali, że produkuje, a my? Zalesie na dolę zamiast na górę.

Chciałem w jakiś sposób sprowo-kować do wypowiedzi sekretarza podstawowej organizacji — Wator-ka. Spytałem więc od niechcenia:

— To wy jeszcze konkurujecie z Górzakami?

Watorka aż podrzucił, ale się opanował i rzekł spokojnie:

— Ej, rację miał Kaczmarek, kłepską żecie akademię skończyli Kamiński. Najpierw się pyta, które kulaki lepsze, a teraz wyjechał z konkurencja. Współzawodnictwo jest — rozumiesz? Nas zesze-gro roku ugryzła ta... afrykańska mu-cha... jak jej tam jest — tfu, tfu, czy jakoś, dość, żeśmy się pospali, to znaczy zatracili czujność klaso-wą i kulaki przetrucili plan na Kaczmarek i Nowaków, z biedą wyciągnęliśmy 100 procent, a oni ziarno przetrzymali na przedno-vek. Gorzacy byli czujni i dlatego słusznie ich pochwalili, a my się od nich musimy uczyć. Choć u nas ta-ki Bosun też ma łeb!

— Ale tego roku wykonamy plan z większą nadwyżką niż oni. Ja wczoraj jakem przejrzał obliczenie sam se dodałem 300 kg więcej — wykryknął Nowak.

— I ja — oświadczył Kaczmarek — ino żeby się drugi Skrzypniew-ski znnowu nie znalazł.

— Nie ma obawy — Wątepek po-wiedział to niezwykle poważnie. Na moment zapadła cisza.

— A ja dzisiaj deklaruje jeszcze 500 kg więcej.

Sredniorolny Korab stał obok gazetki ściennej przysłuchując się rozmowie.

— Ty powinieś, bo masz na ty-le.

— Dlatego właśnie daję, że mam, tak jak ty.

Zapadł zmierzch. Zabłyty elek-tryczny światła. Dla ludzi z miast to oczywiście nie szczególnego, ale ktoś, kto do niedawna jeszcze wy-patrywał oczy nad książką przy-nikłym świetle lampki naftowej — wzruszył się na pewno.

Wsi moja sąsiadka: głowy po-chylone przy radiowych głośni-kach, przedśenny szezebiot szcze-śliwych dzieci, śmiechy dziewcząt skrytych gdzieś poza zasięgiem elektrycznej lampy, odległe dźwięki harmonii, błędne ogniki papie-rósów wypalanych przed domami... Góra, moja wsi rodzinna — zwarty kolektyw biedniacko — średnia-cki, czuwający przy żniwach, omło-tach i skupie...

Wczoraj usłyszałem w dzienniku radiowym: na terenie naszego województwa produkuje gromady Gó-ra i Zalesie. Zobowiązały się one wykonać plan skupu do końca li-stopada, a więc na miesiąc przed terminem. Padkreślił należy, że gromady te, jako jedne z pierw-szych zakończyły żniwa i siew po-łonów...

Ireneusz Gwidon Kamiński



Są u nas literaty!

Donoszę Obywatelom gminy, że spotkał nas cięższy zaszczyt. Przyjechał do nas znowu literat. Jeden nazywa się Boleśław Wyrtański i jest od przepisywania powieści. Drugi zowie się Janusz Warneńczyk i jest od układania sztuk na scenie.

Naprawdę już apeluję do Obywateli! Kiedyś spotkacie tych literatów, czyście co się da, aby nasza gmina na przepisaniu została w literaturze! A staraj się bardzo musimy, bo te literaty ponad normę są wymagane. Obu, jak wiecie, dostali nagrody i za nie nie chcą ich stracić. Najtrudniej będzie zadowolić Wyrtańskiego.

Umyślił se bowiem pisać O LU-DZIACH ZA RZEKĄ. Jakże mu zrobić rzekę w gminie, kiedy jej nie ma? O stawach i strumykach nie chce słuchać. Mościemu, na tym jeszcze nie koniec. Gadaj, że w jego książce musi być „siekiera i kłonica w ręku kuliaka i krew na czole bohaterki-biedniaka”. Co do tego, to apeluję — ani słowa. Już mu radziłem, żeby podpalenie i morderstwo przepisać na inną gminę, u nas kuliacy wzięli dudy w miech.

A on swoje — ho, ho, jak pobe-de to i u was wypatrze.

Moi Kochani, jakby rzekę wypatrzyli, szkody dla gminy nie będzie, ale z morderstwami to nie honor iść nam w historię A poretście, to nieprawda.

Z drugim literatem, Warneńczykiem, będzie pono łatwiej. Zwierzał nam się, że krytyka naskoczyła go, bo w jego sztuce akcję prowadzi kuliacy i „Zwycięstwo” w tenże sposób psim swędem przychodzi biedniakom i średniakom. Powiedział do nas — „za mało wiem o prawdziwym twórcy nowych dzieł na wsi polskiej — o pracującym chłopstwie”. Widzi mi się, że na tym Warneńczyku nasza gmina nie przegra. Apeluję przeto, abyście Obywateli zasług swych pod koniec nie chowali.

Niechże pisarze zapisują, jak się nasz naród przemieniał i przemienia.

Dionizy Kopyś

I listy otwarte

naszych gości pisarzy

Stawni w walce

Czytałem w redakcji „Gazetki Zniwnej” korespondencję Dionizego Kopyścia. I bardzo mi się spodobała. A wiecie dlaczego? Bo wyraża się w tej korespondencji mocne pragnienie chłopów, aby współczesna literatura polska ukazała Wasze nowe życie. Kopyś pisze również o tym, dlaczego rośnie takie pragnienie. Nowe życie jest zwycięskie i wciąż idzie ku lepszeniu. Bo nowe życie należy do robotników i chłopów. Dlatego w literaturze nie będzie już chłopów-niewolników, chłopów wyśmiewanych, ani chłopów, nad którym pisarz się lituje.

Ale tu Kopyś przesolił. Wierzę najmocniej, że Wasza gmina, godna jest stawu, ale Moi Drodzy, czyż zwycięstwa i osiągnięcia nie idą przez walkę? A Kopyś walkę, szczególnie w tej ostrzejszej i bardziej ukrytych formach, chciałby „przepisać” na inną gminę. A oto macie wydarzenie w Boguszyńcu! Mówi ono, że walczymy z wrogiem, że im więcej czujności, tym pełniejsze nasze zwycięstwa i sukcesy. Dlatego nie kryjmy walki i wroga!

Bolesław Wyrtański

O patriotyzmie

Kiedy byłem w Czerniówku taką ucieśliśmy sobie rozmowę ze średniakiem Marchwińskim. Pytam go: — Złożyliście podpis pod Apielem?

— Cała wieś złożyła przecie.

— A Wy, dlaczego podpisaliście? Zobito Wam podcaż wojny kogo w rodzinie? Ile osób?

— Nikogo mi w rodzinie nie zabili.

— Ale pewnie spalono gospodarstwo?

— Stoi po ojczym nietknięte.

— A może Wam córki albo synów wywieziono na roboty do Niemiec?

— Akurat nie.

— No to dlaczego podpisaliście?

A wiecie, co on mi na to? Powiada:

— Widzicie, że bez krzywdy osobistej jestem przeciw wojnie. Nic nie straciłem, a jeszcze mi po wojnie przybyło. I tak se myślę, że to, co mam ocalać w ojczyźnie i to cośmy nowego wypracowali, tego trzeba bronić! Tego, co dla nas różnie. O, popatrzcie na nasze pola i tu, na moje dzieci. To wam mówi średniak.

Janusz Warneńczyk

GAZETKA ŻNIWNA W GMINIE Niegłosy

Chłopi!

LEON BUDZOWSKI

RAZ SIĘ W SKUPIE ZBOŻE ZBYWA

Ogłoszono nam zebranie. Już gromada idzie na nie. Idzie kuliak, idzie średniak, Idzie plotkarz no i biedniak.

Przed zebraniem już narada. Przed zebraniem rada, rada. Radzi kuliak, radzi średniak, Radzi plotkarz, no i biedniak.

Kuliak szepe: wy, psiajuchy, Czy wy kumy już osłuchły? Czy wy jeli nie słyszycie, O tym skupie, o tym zbycie?

Czy nie wiecie jak to bywa: Kto na wierzchu ten się kłowa. Oni tak was wykwaja. Bo sposoby na to mają.

Ja wam radzę z całej duszy Na zebraniu zamknąć uszy, Zamknąć usta ani słowa. Bo was spotka bieda nowa.

Już plotkarka rudowłosa: Szepe spod długiego nosa: Zawracajcie do dom wszystkich, Niech zebranie świeci pustką.

Gdy zebranie otworzono, Jednogłośnie uchwalono: Wspólnie skup zbóż przeprowadzić, Wyzyskowi kres położyć.

Na kuliaków, na paskarzy Niech się więcej to nie zdarzy! Tak harcować rok za rokiem, To nam już wylazi bokiem.

Dziś pójdziemy drogą prostą, Postawimy sprawę ostrą. My dziś górą, tak dziś bywa: Raz się w skupie zboże zbywa.

Niech paskarska, sklepikarska Przyszłość się odwróci, Gdy chłop dług swój gospodarski Robotnikom zwróci.

WIADOMOŚCI Z CELIGOWA jedna ważna

Kosa na kamień

Broń mnie Boże, żebym miał obrazić całą gminę. SOM w Celigowie obsługuje tylko południową część naszej gminy i moja krytyka też dalej nie wyjdzie. Wyremontowaliśmy wszystkie maszyny, zapasowych części, jak: grabie, zeby, mury i śruby, narobiliśmy sporo i zwolujemy Meżów Zaufania, którzy stoja na czele Komitetu Żniwnego każdej gromady.

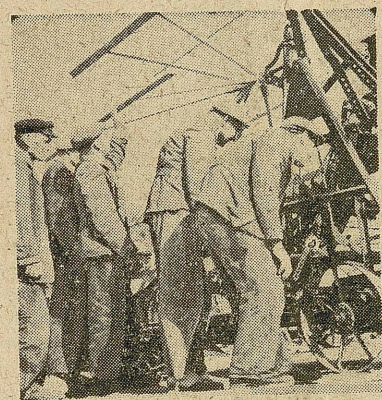
Kiedy się zebrali, my do nich — bierzcie dla każdej wsi po żniwiarce i braków. A oni na to — weźmemy przed czasem pod opiekę, a potem powiecie, żeśmy nie dopilnowali, jak jedna z drugą nie ruszy, co? A bo to my wimy, czy są narychtowane?

Alęmy języka w gębie nie zgubili. — Czekajcie Meże Zaufania — mówimy — jest w polu dojrzwały już jęczmień ozimy i rzepak?

— Jest.

— No, to chodźcie w pole, zobaczmy, co powiecie o maszynach? I myślcie, że zamknęli gęby? Gdzie tam. Jeden zaraz się odzywa. — Teraz owsem, chędzą, a jak w robocie się zepsują? My nie możemy stracić zaufania komitetu i gromady. Dajcie nam ludzi do naprawy!

Niech ich kule biją. Uradziliśmy podzielić nasz teren na trzy rejonu. Jeden pod opieką przewodniczącego SOM-u — Górejskiego,



drugi i trzeci — naszych kowali. Kowal Marciniak rzekł im na odjeździe. — Handlarze z was nie zię. Ale nie rachujcie, że razem z panami z komitetów pierwszy wtargniecie żniwiarkę na swoje pola.

— Jak śmiecie tak mówić do Meżów Zaufania?

— A bo to my wimy czyście dobrze narychtowani — odparł kowal — albo czy się nie popsujecie? Jak spawdzimy i dopilnujemy, to się pokaże.

— Ano, jak padła kosa na kamień, to przekonacie się!

P. S. W następnej korespondencji opiszcie, jak się wywiązały ze swych zadań Komitety Żniwne.

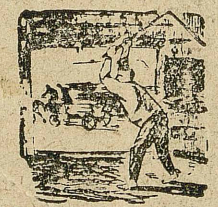
Adam Pocięsny

Motory

dla młocarni!

Dla Rady Narodowej zaznaczam z góry, że najważniejsze w tym liście jest na końcu. Ale zacząć muszę od początku. Przyjechał do Celigowa Michaś St., znany u nas kuliak z fantazją. Konie przed gospodą zawsze karmi herbatnikami. Tym razem w gospodzie pytał nas z głupia frant:

„Jesteście polskimi rolnikami? Jeśli jesteście — to patrzcie!” Pokazał nam kalendarz „Rolnika Polskiego” z r. 1948, a w nim obrazki na sierpnie i wrzesień. Zaczęłam je do mego listu.



Kiedyś obejrzeli te obrazki powiada Michaś: Będziecie rolniki polskie żać kosami i młócić cepami — i w śmiech.

Kochana Rado Narodowa! Co do kos, to się Michasiowi nie udało. SOM celigowski obsługuje cały nasz rejon. Ale co do młocki, to może by się i śmiały z nas kuliacy, gdyby nie ta ich beczność. Czekaj no — myślę — masz ty Michasiu „fantazję”, która nam dodaje bodźca w walce klasowej. Jest w SOM-ie 5 młocarni, ale tylko jeden motor. I dlatego się z nas śmiejesz?

Kochana Rado Narodowa! Zbadalem sprawę i donoszę, że w naszym rejonie kuliacy mają aż 11 motorów. Póki czas, sprowadź Rado, aby kupnem, czy wynajmem wszystkie młocarnie miały zapewnione motory! Jacynty Gwóźdź

Orzmańtości

Rpż, buraki i zboże

Na PGR-ze w Grydnie Wielkiej nie wiadomo czego bardziej potrzeba: deszczu czy pogody, a to z powodu ryżu, który tam nad podziw hodują. Z burakami też grozi kłopot, bo w lipcu trzeba je pielć, a także żąć już zboże. Na hektar buraków wypadłoby 16 — 20 kobiet dziennie. Skąd brać tyle ludzi? I co powiecie. W Grydnie przejechał się maszynowy opielacz, co opielą, spulchnia i obsypuje 7 ha dziennie. PGR Grydnia każeł wam się kłaniać, zaprasza na dożynki.

J. P.

Buraki i torf

Kawęczyn u nas słynie z buraków, a Pichlice z torfu. Ale w Kawęczynie buraki są a w Pichlicach torfu nie ma. Dlaczego? Bo w Kawęczynie wszyscy chłopci plantują buraki, u ich przodownika Skorczyka Franka pole buraczane jak ogród warzywny. Kawęczyn chce dogonić swoich konkurentów z potuiatu gorzowskiego. A tu Bednarczyk zapomniatł po przerwyce okrążyć. A Kubiński nawet o przerwyce. I choć to niedbalstwo na własnej ich plantacji, ale im na zebraniu zmilił głowę. To się nazywa organizacja.

A w Pichlicach rej wodzi Adamczyk i tak torlem kręci, że trzeba mu porządnie w garść nalać wody, zanim się dostanie pół preta do kopania. Ze Kawęczyn wie, co się dzieje nawet w powiecie gorzowskim, to bardzo dobrze, ale, że Rada Gminy nie wie co się dzieje w Pichlicach to bardzo źle. Żniwny zawrót głowy?

W. K.

Stasia Marciniak

Koleżanki i Koledzy! Stasia Marciniak znowu jest w naszej gminie. Orze w spółdzielni w Boguszyńcu. Wiosną osiągnęła 3,5 ha ziemi na traktorze, teraz już 4,5 ha. Wiosną, jak pamiętacie, miała 148 proc. normy. Zobaczymy, ile teraz? Już ka-wał NOWEGO świata poznała dziewczyna — 16 spółdzielni!

A matka przed dwoma laty za nie nie chciała już puść na kurs traktorzystów. Kiedy uciekła, a ludzie zaczęli cuda matce opowiadali o zdolnościach córki, a Stasia nadsyłała pieniądze i upominki, stara Marciniakowa od roku mawia każdemu: CO MASZYNA, TO MASZYNA! JA ZAWDY STASIE NAMAWIAM, ZEBY SIĘ NA MECHANIKĘ WYBIERAŁA...

Ciekawi pewnie jesteście, czy jak teraz powiemy Marciniakowej, że Stasia zmierzła spółdzielnie we wsi zakładać — czy stara wdowa również przytaknie?

— CO SPÓŁDZIELNIA, TO NIE WIEŚ. ZAWDY STASIE NAMAWIAM...

Myślę, że przytaknie.

L. K.

Dość lipy

Zetempowcy z Baniewa wystali do Rady Gminnej list, a odpowiadzi jak nie ma, tak nie ma. Widać Przemydł nie chce psuć sobie humoru po protokole zaborczym, jaki otrzymała od naszego gromadzkiego Komitetu Żniwnego w Baniewie. Pewnie, że jak „nowe radni przeczytali: „ŻNIWA SKRÓCI-MY Z 20 NA 15 DNI I WYKONA-MY JE WŁASNYM! SIŁAMI” — to zawołali chórem: baba z wozu koniom lżej.

A tu nadchodzi nasz list. A kuku? Ciska. A kuku?

Dość tej riszy. Już cztery dni znamy w naszej wiosce i widać, że skończyć by można w osmiu dniach. Ludzie! Przecież u nas są 3 SNO-POWIAZANKI I 6 ŻNIWIAREK! Myślimy się powinni zobowiązać do dużej pomocy w sąsiednim Czerniówku.

Ale, maszyny są prywatne... ale trzy sopotniałki pochodzą z naszego już zabru, a pewnie i ze dwie żniwiarki, więc nie podjęliśmy pomocy sąsiadzie dla drugiej wsi, aby... nie wywołać wilka z lasu?

Kochana Rado — A KUKU?

Nasz Komitete Żniwny — DOŚĆ LIPY!

J. C.

Buchalterzy

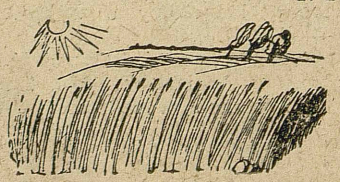
W spółdzielni produkcyjnej w „abinku buchaltera, Stanisława Merde zobaczycie... na polu, przy snopowiazalce.

— No toście już nie buchalter — orzekł pisarz Janusz Warneńczyk, kiedy mu się Merda przedstawił.

— A niechże Pana, każdemu ob-cemu muszę się tłumaczyć. Zobo-wiązanie podjąłem: wyprowadzić książki na bieżąco i całe żniwa ob-sługiwac ten wiatrak, a pan mi mó-wisz, że nie buchalter. Aha, jak pana znowu przyniesie na omloty to mnie zobaczysz wozowoda. Woda do kotła, co trochę potrzebna, ona pa-nie, pedzi wielki pas, łączący ko-ciół z młocarnią, a ja będę wozół, to moje drugie zobowiązanie!

A w PGR-ze, Grydnie Wielkiej, buchalter Maczka z biura nie wy-chodzi. Zapisuje! Dwa stoi żyta, 9 ton pszenicy w spichrzu. Szlak je-czmenia położony, owies jutro go-towy do zwózki...

T. P.



dzie i u wszystkich duchem odbyć. Gdzie się da już na polach omloty przeprowadzić, zarutko też pod-orywki i na skupie zboża pokazać się piersi w powiecie! Tako niech będzie nasza wszędzie taktyka, u-ważać dlatego na wroga, aby na naszym stanoło.

Wasz agronom gminny
chłop miejscowy
Franciszek Pomykało

O skupie zboża WĘZŁOWATO

POTRZEBUJEMY zboże sprze-dać? Potrzebujemy! Prędko! Chocby, jak najprędzej! Ile? Tyle, co mamy towarowego. Bo my potrzebujemy także na rodzinę i dla bydła i świń.

Pokreślił nam zeszłoroczny skup trochę w głowie? Pokreślił! A dia-czego? Bo weźmy na ten przykład soltysa z naszej gminnej wsi Nieglo-sy. Soltys, i pod samą Radą Gm-inną, ma tyż tylko 3 ha, a wlepił mu 10 m. żyta, 10 jęczmienia i 3 psze-nicy. Skąd tak? Nieobliczone było

opłacalnie dla nas i jednakowo. Cena jest stała i opłacalna? Jest! Rozpatrzone biedy ubiegłego sku-pu? Rozpatrzone i z taką matema-tyką, że teraz każdemu liczy się tylko towarowe i to ino część na skup. Jeśli sam dasz więcej, bie-rzesz premię.

Komu dajemy chleb? Robotniko-wi! To trzeba nam rynku handlar-skiego, targowania się, spekulowa-nia i przewlekania? Nie!

Grozą nam obszarnicy, kuliacy, handlarze? Nie! Grozi nam gielda burżuów w kraju albo z zagranicy? Nie! A dlaczego? Bo robotnicy są u władzy, a my z nimi w sojuzu robotniczo-chłopskim.

Jak nam nie nie grozi, to prze-starcie wreszcie chłopcy myśleć o rynku po przedwojennemu. Już się przecież nie martwisz, że nie sprze-dasz, już nie straszysz cię urodzaj, już nie boisz się stracić spadku cen i wyzysku.

Rynek teraz jest społeczny, robot-niczo-chłopski. A na takim rynku prosta sprawa: krótko i szybko! Tak samo, jak na budowach be-mbinatów, jak na naszych żniwach tegorocznych.

Z tego taka korzyść, że omloty przyspieszymy, zboże zaraz sprze-damy, a zimą będziemy mieli wo-ny czas na świetlicę i książki.

Wasza od trzech miesięcy
rzeczowniczą Narodowej
Rady Gminnej

Józefa Koszewska

Czujność wobec wroga!

Czy wiecie, co się zdarzyło w Boguszyńcu? Ale poczekajcie, po kolei. My tu w sąsiedztwie gminy Wiry zawsze mamy najwięcej kłopotów. PSL-owskie gniazda kulaćki wciąż macą wodę. W tym roku przeciw POM-owi. Bo zważcie, u nas, prawie na granicy gminy spółdzielni produkcyj-na, a u nich POM w Karzyczach. Dostali się w obęgi Myśmy w społ-dzielni przygotowali się do pierw-szego planu skrupulatnie. Umowa z POM-em została zawarta na dwie snopowiazalki, wyremontowaliśmy własną żniwiarkę i obiecali pomóc wsi. A tu nas dochodzą plotki, „aby nie zawierać umów z SOM-ami i POM-em, bo maszyny i tak na wieś nie nadejdą, a obiecują dla propa-gandy”. Posłaliśmy na wieś i robimy zebranie, jedno, drugie, trzecie. Lu-dzie wytrwali w oczekiwaniu. Sno-powiazalki nadeszły, młodzi traktoryści, a wśród nich nasza sławna Stasia Marciniak, pracowali bez przerwy już trzy dni, jeszcze dzień młode dwa i byśmy przetrucili je na wieś. I właśnie przetrucio dnia w no-cy przyjeżdżają do nas motocyklem dyrektor POM tow. Przybyłszy i dy-spozytor Leduchowski.

— Gdzie traktory — pytała — prowadzicie! Prowadzimy. — Gdzie u was opony popostrzelane? Gdzie zgruchotane snopowiazalki? — zarzycał tow. Przybyłszy. Zbaranie-liliśmy.

Co się okazało? Przed godziną otrzy-mał w Karzyczach tow. Przy-byłszy taki telefon: — Halo, tu Boguszyńscy Towarzyszy... był napad... snopowiazalki rozbite... oba traktory mają popostrzelone opony, zboże nam syple. Jeśli jutro nie skończy-my sprzętu żyta straty dojdą do 35 proc. Przysyłajcie maszyny.

Co robi tow. Przybyłszy? — Re-duchowski, ile mamy w zapasie?

— Nic. Ostatnie dwie maszyny po-remontcie idą do Grzymkowic w

gminie Wiry na umowę z chłopami indywidualnymi.

— Dobrze, przekażemy je Boguszyńcom! Ale, najpierw my do Boguszyń! Wrócimy na 2 w nocy, będzie jeszcze czas. A... cudów nie lubię. Oczywiście, traktory poszły, jak



miały pójść, do Grzymkowic. I tam od razu dowiedziano się, że kuliak Grzadzka obnosil przed wieczorem wiadomość, że POM odmówił Grzymkowicom, bo tutaj przecież chłopci gospodarzą indywidualnie. „Zobaczcie — przekonywał chłop-ów — że oni wolą zwałić kołcho-zowi na kupa cztery snopowiazalki, niż dać biednemu chłopu u nas”.

Oto, jaka strategia kuliacka: z naszymi Boguszyńcami czuli, że nie da-da rady, bo u siebie w Wirach chcieli utrzymać panowanie. Przy-braku spółdzielni na gminie myśleli, że uda im się zrazić chłopów do POM-u. No i wyszła kryminalna ro-bota.

A my świecimy zwycięstwo czuj-ności, porządku i prawdy.

Szymon Wątarek

Jeśliby jakiś czytelnik nie uwierzył (a zawsze znają się tacy) w auten-tyczność Gazetki Żniwnej z gm. Niegłosy — oświadczam, że wszyscy wiadomości i wydarzenia, podane w tej gazecie miały miejsce w rzeczywistości.

Piotr Chmura

Jedną z najprzyjemniejszych funkcji recenzenta jest odnotowywanie w rubryce krytyczno-literackiej stałego rozwoju — ideowego i artystycznego — dużego talentu pisarskiego. Z takim właśnie zjawiskiem mamy do czynienia przy ocenie nowej książki Stanisława Zielińskiego — pierwszej części powieści zatytułowanej „Ostatnie ognie”. Opublikowane przed półtora roku dwa tomy „Opowiadań żołnierskich” Zielińskiego — „Przed świtem” i „Dno miski” — przyjęte zostały zgodnie przez krytykę jako tzw. „dobra zapowiedź”. Wytknięto surowo autorowi poważne błędy ideologiczne (te najbardziej określił R. Matuszewski w „Twórczości”: „Obiektywna geneza artystycznych braków w opowiadaniach Zielińskiego jest w ogóle brak klasowego spojrzenia na przedstawianą rzeczywistość, nieumiejętność dostrzeżenia i artystycznego uwypoklenia antagonizmów społecznych, cech klasowych i oblicza walki klasowej w świecie, który opisuje”) i artystyczne (sprecyzowane w analizie L. Flaszna we „Wsi”: ograniczone narracje w pierwszej osobie, deformująca groteska, niekiedy naturalistyczny dokumentaryzm). Oczywiście nie tylko, ale w osobie Zielińskiego przybył nową literaturę polskiej tegi pisarz o dużych możliwościach rozwojowych. To ostatnie przekonanie potwierdza także nowa książka Zielińskiego. Stanowi ona zresztą jakgdyby polityczne podsumowanie wcześniejszych szkiców noweliściycznych, obracających się wokół tematyki września 1939 roku, jenieckiego życia w Oflagu i bezrozumu emigracji na Zachodzie. O ile jednak w dwóch poprzednich tomach mieliśmy do czynienia z moralistycznym — obyczajową krytyką sanacji i z zarysowanymi często dla celów tylko anegdotycznymi, nietypowymi sytuacjami życia emigracji, o tyle w „Ostatnich ogniach” Zieliński — wykorzystując bogaty materiał nagromadzony poprzednio — sięgnął z pełną świadomością polityczną do wielkiego i ważkiego tematu: rodowodu i przejawów zdrady narodowej emigracyjnych zaprzańców. Jego ambicją było ukazanie procesu gnicia polskiego faszyzmu na emigracji oraz zbrodnię ich działalności niedobitków burżuazji i obszarnictwa wymierzonej przeciwko Polsce Ludowej. Autor uosmiał swój zamiar w tytule „Ostatnie ognie”, których znaczenie wyjaśnia następująca rozmowa w powieści: „...Pewne elementy pobitego faszyzmu ocalały. — Mówiłem kiedyś, że w powojennym pogorzelisku tła się jeszcze niebezpieczne iskry mogące przy pomocy podmuchu stać się zarzewiem nowego pożaru. Mam nadzieję, że damy im radę. — Jestem tego pewien. Zadeptamy jak szmatę! — rzekł Tański. — i zacinając dłoń”.

MARIA JANION

RODOWODY ZDRADY NARODOWEJ

W takim sprecyzowaniu tematu powieściowego — chociaż nie w pełni zrealizowanego przynajmniej w obrębie pierwszej części „Ostatnich ognia” — upatrywać należy najlepszy dowód dojrzałości pisarskiej Zielińskiego. Słuszności tego twierdzenia można dowiedzieć odwołując się tylko do dotychczasowej praktyki powieściowej w tym zakresie. Książka Zielińskiego zawiera się w obrębie gatunku, który potocznie nazywamy „powieścią polityczną”. Jest to oczywiście określenie niezbyt ścisłe, bo choć tzw. „powieść produkcyjna” nie jest jednocześnie „powieścią polityczną”, i czy w ogóle może istnieć twórca pisarza — marksisty bez elementów „polityki”? Ułartego kreślenia tego używamy na oznaczenie powieści, której akcja obraca się najczęściej w tzw. sferach politycznych i dotyczy bezpośrednio wydarzeń i procesów politycznych. Wśród nich — w produkcji powojennej — notujemy takie jak „Mury Jerycha” Brezy i „Węzy życia” Nałkowskiej. Charakterystyczną ich cechą — jak w ogóle zresztą tego etapu rozwoju naszej prozy — była negatywna ocena okresu rządów sanacji, co wyzerowało się jednak w demaskowaniu gabinetowych gier i drobnych świństw prywatnego życia dyktatorów przedwójennych. Na tej drodze — przy psychologizowaniu zachowań pisarskich — niewiele można było osiągnąć. Część debiutanckich opowiadań Zielińskiego wywodziła się także z tego zakłętka: „Między wojnami” — w „Troj” — „mieście otwartym”. Pisarz podchodził tu do próby zobrazowania życia emigracyjnego z marksistowską świadomością, pozwalającą mu wychwycić typowe fakty charakteryzujące ówczesną sytuację polityczną i ocenić jej ideowy sens. Z podobnym poglądem marksistowskim widzenia historii mamy do czynienia w „Ostatnich ogniach” i to zadecydowało o sukcesie pisarza w zakresie podjęcia i ustawienia tematu.

Problematyka rodowodu zdrady narodowej to wielki temat naszej współczesności. Powieść Zielińskiego może i powinna — szczególnie dziś w okresie umacniania frontu narodowego i wzmagania politycznej czujności na każdym odcinku — odegrać dużą rolę. Premier Cyraniewicz pisał: „Bic trzeba wrogów Polski, demaskując ich antynarodowe oblicze, odsłaniając ich genealogię przeszłości, ukazując, nicy, pro-

wadząc wprost do ich protoplastów, od Targowicy poczynając, a na sanacji i endecji i ich emigracyjnych pogrobowcach kończąc... Mobilizując naród do walki o pokój i Plan sześciolletni należy w większym niż dotychczas stopniu wskazywać antynarodowe oblicze zdrajców i zaprzańców”. Na linii tych zadań ideologicznych znajduje się nowa książka Zielińskiego. Charakterystyczne jest, że korzysta ona — jak się wydaje — z olbrzymiego materiału dowodowego nagromadzonego przez proces Doboszyńskiego. Proces, który, jak trafnie wypunktował prokurator, był „rachunkiem czarnego sumienia reakcji polskiej”, który ukazywał typową drogę zdrajców narodu polskiego, młotających się między wywiadem niemieckim i amerykańskim. W śledztwie pisarza do przebiegu procesów politycznych należy widzieć słuszną dążność wykorzystywania dokumentów zbrodni upadającej klasy.

Typowość zarysowaną w powieści drogi polskich faszystów, agentów obcego wywiadu Byczowski — Kita i Szulawki — Dahomejskiego — nie budzi żadnych wątpliwości. Zobrazowanie ich losów stanowi najmocniejszą stronę książki Zielińskiego. Nie o wszystkich jednak — a przecież tak w utworze licznych — postaciach powieściowych da się ten sąd utrzymać. Dotyczy to przede wszystkim głównego bohatera i narratora powieści — Jana Masłowca. Trzeba z góry powiedzieć, że Zieliński nie ma szczęścia do swoich „pozytywnych narratorów”. Akcentowała to krytyka przy omawianiu wcześniejszych tomów opowiadań. W „Ostatnich ognia” nasuwać się przede wszystkim dwa zagadnienia: typów używanych w powieści narracji i postaci bohatera — narratora.

Linia przyjęta przez autora konstrukcji niezupełnie pokrywa się z bogatymi wątkami powieści. Dwa dni rozprawy sądowej przeciw Kita i Szulawki — Dahomejskiego, dzięki wysunięciu na plan pierwszy postaci narratora — Masłowca zdają się być ramami dla zobrazowania jego „ścieżki z tamtych lat” — a więc dla zarysowania drogi ideowej przeciętnego, nieubiegłego faszysty, liberalizującego inteligenta, który po dłuższych doświadczeniach pod okupacją amerykańską w Niemczech decyduje się na powrót do kraju i, jak widzimy, w dniach procesu staje się lojalnym wywiadem Polski Ludowej, sojusznikiem i przyjacielem działaczy robotniczych, Ścieżka Masłowca „dzi-

waczna, pełna niespodziewanych skrętów”, biegnąca „część nad urwiskami, niż przez kwitnące sady” ukazywana jest w bezpośredniej relacji narratora.

Już przy omawianiu opowiadań „Przed świtem” i „Dno miski” krytyka sformułowała zasadnicze zastrzeżenie pod adresem ograniczonego widzenia głównego opowiadacza: nie bardzo politycznie zorientowanego przeciętnego oficera rezerwy. Słusznie pisał R. Matuszewski: „Jako autorskie porte-parole występuje ciągle jakiś niepozorowany krytycyzm, w stosunku do tego co widać, ale też i niewiele do tego co się zobaczył narrator, oficer rezerwy, „autentyczny”, ale odbierający czytelnikowi wszelką nadzieję przedarcia się poza zarysowany krąg przeżyć przypadkowej, „przeciętnej” postaci żołnierza i jeńca”. Jasne, że sprowadza je autorskiego punktu widzenia do relacji tak wybranego narratora nie mogło zapewnić opowiadaniom Zielińskiego pełnej politycznej słuszności i artystycznych horyzontów. Rola Masłowca jako opowiadacza mogłaby nie budzić podobnych zastrzeżeń, gdyby autor ukazał nam go na dalej posuniętym etapie świadomości ideowej. Jako świadomy marksista byłby on w stanie i zrelacjonować i ocenić swą drogę tak, że nie odczułby braku autorskiej wszechwiedzy i szerokiego tła obiektywnej relacji. Niestety, Masłowiec z dni procesu to człowiek jeszcze naiwny politycznie, jakkolwiek uczciwy i jego spojrzenie na doświadczenia emigracyjne dalekie jest od koniecznej dojrzałości.

Autor, czując ograniczoną swego bohatera, wprowadził w sposób najupełniej nieoczekiwany i niesprawiedliwiej całością konstrukcji powieściowej, duże partie narracji odatowskiej. Całość zakrawa na tok wspomnień i refleksji nasunętych Masłowcowi przez proces Szulawki i rozmowę ze współczesnym dziełem tych wydarzeń komunistą Tanskim — partie odatowskiej rozrywają ten konsekwentny artystyczny tok, mając pozorne poszerzać obraz powieściowej. Ta niekonsekwentna konstrukcja nie była bynajmniej konieczna, a i w wyniku ostatecznym nie jest udana. Przede wszystkim — i to jest może najistotniejsze — pozycje, z jakich pisane są partie „narracji obiektywnej” niewiele różnią się od pozycji Masłowca. Przytacza tu autor wprawdzie szereg faktów nieznanych Masłowcowi, ale niewiele różni się to od jego opowiadania z krokiem i jakością przytaczanych

faktów, a z pewnością nie głębszym komentarzem politycznym. Poza tym łatwo było uniknąć łamania konstrukcji przez potraktowanie postaci Masłowca bardziej „na serio” i związanie go nawet wspólną akcją z emigracyjnymi zdrajcami. Masłowiec, awanturujący się bez sensu po całej Europie, w jakichś przypadkach nie z tej ziemi, musiał mieć oczywiście ułamkowe, przypadkowe i mało reprezentatywne wiadomości o miliej szajce — Masłowiec bezwiednie zawiązywał w ich zbrodnię, a działalność, wyplatając się potem z ich sieci i podejmując z nimi walkę — byłby wystarczająco wiarygodnym i bliskim nam ideowo informatorem, a jednocześnie reprezentantem procesu politycznego rozwarstwienia inteligencji, tak typowego dla lat wielkiego przełomu. Jeśli zaś autor zaplanował powieść szerzej, jako obraz polityczny emigracji, który nie dałby się w całości zamknąć w ramach przeżyć Masłowca, to niepotrzebnie pętał sobie nim ręce, gdyż partie odatowskie sytuacji w pełni uratować już nie mogą.

Wspominałam przed chwilą, że obydwa typy narracji łączy w powieści w pewnych szczegółach podobne widzenie rzeczywistości, które może z błędów uchodzić Masłowcowi, a już zupełnie nie przystoi „szanującemu się pisarzowi”. Wystrępuje ono ze szczególnym nateżeniem mniej więcej do połowy książki i obniża znacznie jej wartość. Chodzi tu o elementy taniej sensacyjności, które zupełnie nie wynikają z koniecznego, logicznego toku wydarzeń powieściowych (np. sprawa Bormana), o koncepcję „wariackiej awantury”, absolutnej przypadkowości zjawisk, niepojętego spłotu życiowych kombinacji. W okupacyjnym balaganie Europy Zachodniej w 1945 roku tkwili w jakiejś mierze te piarwistki, ale Zieliński niepotrzebnie je rozdmyna do rozmiarów szampańskiej, a irracjonalnej hucy. Występuje to szczególnie — w sposób śmieszny i zalatujący brukowymi niezwykłościami — w historii romansu Masłowca i Marii, gdzie ambicją autora było — wydaje się — jak najbardziej „wymyślnie” poprowadzić miłosny wątek. Na tego typu kalejdoskopowe, pełne irracjonalnej przypadkowości mieszanie elementów rzeczywistości natykamy się w powieści, niestety, dość często. Wiąza się z nim spore zawiłości fabularne, które poważnie utrudniają lekturę. Są partie książki, które nie recenzentowi, ale zwyktemu czytelnikowi nasunąć mogą konieczność kilkakrotnego werto-

wania i porównywania nazwisk i wydarzeń. Jeśli nawet niezrozumiałstwa fabuły wyjaśnia się w drugiej części powieści, to jednak pierwsza część — stanowiąca przecież jakąś dość zwartą całość — powinna być z nią oczyszczona.

Pod adresem drugiego tomu powieści, który — jak się można domyślać — dotyczyć będzie działalności obcych agentów już na terenie Polski Ludowej, wysunąć trzeba postulat sprecyzowania stosunku autora do typów narracji. Powinna być zatem usunięta dotychczasowa sprzeczność nurtująca „Ostatnie ognie”: z jednej strony bogata panorama emigracyjna, „treść odatowska” grubo przetrasta problematykę przełomu Masłowca, z drugiej zaś — relacja odatowska zniża się i ogranicza w wielu wypadkach do poziomu problematyki wewnętrznej ubogiego zarysowanej postaci „pozytywnego narratora”. A więc dla wyprostowania załamania powieści na tym odcinku celowe byłoby zrehabilitowanie Masłowca na przestrzeni drugiego tomu przez pogłębienie przebiegu jego ewolucji w stosunku do zagadnień politycznego życia kraju, przemian ustrojowych i ich kierunków. Oczekujemy też od autora rozplątania w drugim tomie „węzłów gordyjskich” fabuły. Zapewne Zieliński uwzględni tu szerzej i wzmocni udział bohaterów z szeregu klasy robotniczej, których brak odczuwano już dotychczas w części „emigracyjnej” i bardziej zdecydowanie rozwiąże sprawę dziewczyny z proletariatu — Tułki Kieszekówny.

Niedomagania nowej powieści Zielińskiego, o jakich dotąd była mowa, ograniczają komunikatywność i czytelność książki i osłabiają jej artystyczną wymowę. Niemniej, powieść posiada wielkie zalety, przewyższające wielokrotnie rachunek jej błędów. Do takich zalet należy umiejętność prowadzenia interesującej narracji (i to bez elementów niedrowej sensacji) oraz kreślenia niebanalnych, zindywidualizowanych postaci powieściowych. Portretująca pasja oskarżenia niedobitków faszyzmu i słuszną polityczną tendencją utworu, a także obrazy, interesujący, dobrze oparty materiał poznawczy, jakiego dostarcza czytelnikowi.

„Ostatnie ognie” to duże osiągnięcie pisarskie Zielińskiego i nowy sukces w rozwoju naszej literatury. Czekamy niecierpliwie na drugą część powieści, której ambicją będzie ukazanie zwycięstwa polskiego ludu pracującego nad faszyzmem i obszarnictwem.

Maria Janion

*) Stanisław Zieliński: „Ostatnie ognie”, powieść, część I-sza, 1951, „Czytelnik”.

BOGDAN WOJDOWSKI

ZBELETRYZOWANA BIOGRAFIA CHŁOPSKA

awanturczym życiu zawarty jest w epickim wyolbrzymieniu losów ówczesnej mieszczańki. Moll Flanders ani na chwilę nie przestaje być kupcową.

Nie widzę w Janie Feliksie typowego bohatera proletariatu dlatego, iż „konstrukcja jego losu” nie jest ujęta realistycznie.

Jan Feliks wspina się do wiedzy — wydaje mi się, że jest to szlachetny rys jego humanistycznej postawy. Ale teraz spójrzmy, jakimi drogami każe się autor wspinać swemu bohaterowi. Fornał Jan Feliks wchodzi do rodziny karbowego. Oczywiście, że to wejście proletariatu w wielkiego do rodziny przywilejowanej i grubo lepiej sytuowanej „arystokracji” fornałskiej (pełniającej z punktu widzenia jej funkcji klasowej rolę narzędzia, poskramiającego w imię interesów dziedzica ruch klasowo-rewolucyjny mas fornałskich) — musi co najmniej zahamować proces krystalizacji świadomości klasowej bohatera. Tak samo jakby np. Defoe w pewnym momencie przypadków Moll Flanders kazał jej wyjść za dobrze mającego się lorda z dochodem dajmy na to trzech tysięcy funtów z samych posiadłości ziemskich nie licząc udziałów w Kompanii Zachodnio-Indyjskiej. Ale — zaprotestujecie — przez to samo Moll Flanders przestanie być bohaterką mieszczańską — ladaćnicą i kupcową w jednej osobie, nie przeprowadzona zostanie naczelna tera powieści itd. Otóż właśnie, w „Opowieści o moim ojcu” mamy do czynienia z tego rodzaju znieskształceniem modelu bohatera. Szkoda, że Jan Feliks wchodził się do rodziny karbowego Grafa. Szkoda, że Jan Feliks zaniósł się do fabryki, musiał (?) służyć za stangreta u doktora Lamparskiego, a część nie pozwalała nam bynajmniej poznać lepiej głównego bohatera, który z proletariatu rolnego przedzierzgał się w drobniomieszcza, a za to bez widocznej potrzeby zapoznaje nas z postacią inteligenta jakich wiele spotkać można w powieściach Zeromskiego. Lecz kolej losu Jana Feliksa z punktu widzenia autora są uzasadnione. Musiał on służyć u Lamparskiego za stangreta, gdyż nie chciał pracować jako zwykły robotnik rolny, we dworze, gdzie stracił miejsce wójtów. Z kolei praca w mieście nastroziła mu sposobność widzenia Żelaśkiewicza, który go namówił do pójścia — do fabryki.

Pierwsze rozdziały powieści rysujące dzieciństwo i młodość Jana Feliksa mają w sobie coś z atmosfery prac konkursowych na „Opis mego życia” (jaki znamy z ankiety „Młode Pokolenie Chłopów” r. 1937). Na marginesie tej partii „Opowieści” cennie się pod pióro uwaga, którą prof. Chałasiński uczynił w „Młodym pokoleniu chłopów”, właśnie na podstawie takiego konkursu. Oto ona: „Od niedźnej, sprężonej sytuacji pastucha, normalna droga awansu społecznego w systemie wiejskim prowadzi do stanowiska parobka-kawalera”. (I, 230).

Abstrakcyjne kategorie „socio-logiczne” w rodzaju „pastucha”, czy „parobka-kawalera”, mogły zacząć żyć ujemnie nad powieścią Koprowskiego tylko dzięki wąskość ram obrazu wsi, jaką przedstawia autor. Koprowski zasugerowany wymogami biografii, nakazującej koncentrować uwagę na postaci naczelnego popadł mimowiednie w błędy, które u autorów „Młodego Pokolenia” wynikały ze swojej metody socjologicznej, zasugerowanej im, i jak też z ich żalów i pragnień w orbitę których się zamykali.

O ile Koprowski z talentem plastycznym potrafił ukazać dwór, dziedzica, tarcia pomiędzy gromadą fornałską a dworem, o tyle na marginesie zepchnął sprawy wiążące się ze skomplikowanym uwarstwieniem socjalnym wewnątrz wsi, co prze-

cież pozostaje w ścisłym związku z kolejami proletariatu, fornała fołwarcznego.

Falszywa wydaje mi się również ocena moralna karbowego z majątku Radwańskiego. Jest coś wysoce niezgodnego z prawdą artystyczną w fakcie, że Jan Feliks po wyrzuceniu przez dziedzica spotyka się z oznakami sympatii i współczucia właśnie u karbowego. Przy czytaniu opowieści ma się wrażenie, jak gdyby autor uparcie sympatyzował z karbowym (bo tak nakazują wspomnienia?). Karbowy Grad, z racji tego, że zostaje świadkiem Jana Feliksa pasowanego jest niemalże na bohatera pozytywnego. Ile w tym jest sentymentalizmu, a ile surowej realistycznej prawdy nie trudno osądzić. Beletryzacja powieści zyciorysowej jest zadaniem trudnym właśnie dlatego, że krepuje pisarza w doborze typowych bohaterów i konstruowania typowych sytuacji. W „Opowieści o moim ojcu” uwidoczniły się te zmagania realisty, pragnącego wnieść się ponad statystyczny przeciętność surowego materiału częstokroć niepołączanego i niewdzięcznego w obróbkę. Czy Koprowski wyszedł z tych zmagania zwycięsko? Trudno na to pytanie wprost odpowiedzieć.

Wydać mi się, że wielkość beletrysty biograficznej Gorkiego tkwi nie tylko i nie głównie w jej autentyczności, lecz w wielkim realizmie,

który wyraża się w tym, że dzieje wciągające się, powiewanego chłopca urastają do godności symbolu całej przedrewolucyjnej Rosji. Taka selekcja materiału literackiego, która autentyzm powieści w obrębie typowości — oto zasadniczy walor beletrystyki biograficznej realizmu socjalistycznego.

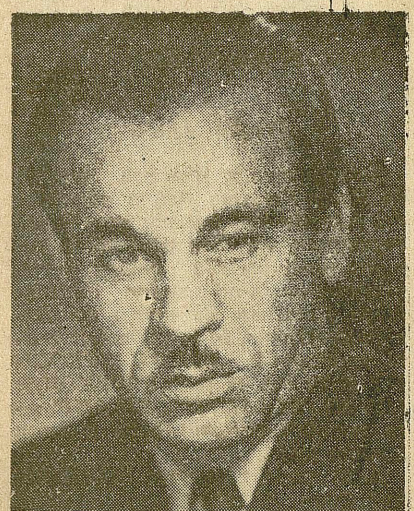
Koprowski przechyla się zbytbytno w stronę surowego autentyzmu i tu jestem skłonny upatrywać źródła szeregu błędów ideowo-artystycznych „Opowieści o moim ojcu”. Obawa przed uogólnieniem artystycznym pcha Koprowskiego w objęcie naturalizmu. Nie będe tu wymieniał tych drobnych wtrętów naturalistycznych, które autor skwapliwie powtórzył do swej powieści. Czytelnik sam je odnajdzie z łatwością. Chodzi mi o rzeczy grubo ważniejsze. O proporcje w strukturze utworu. Koprowski nie zachował niestety realistycznej hierarchii ważności problemów. Demonstracja, która jest w powieści momentem kulminacyjnym zajmuje u niego tyle miejsca, co zbieranie grzybów. Bagatela. To samo zjawisko pojawia się u Koprowskiego w nieco innej formie, gdy kładzie on nieludzkie akcenty na sprawach marginalnych, usuwając w cień zasadniczą problematykę. Ten niedowład realizmu, przejawia się zwłaszcza w zakończeniu powieści. Żelaśkiewicz, stary komunista, którego przyjaźni zawdzięcza Jan Feliks stracie miejsca u Radwańskiego, oddzwiera się Janowi Feliksowi w momencie szalejącego bezrobocia, nastrożając mu posadę wójtów w szkole. Nie wydaje mi się to dostatecznym powodem do zakończenia powieści. Co to w gruncie rzeczy rozwiązuje? Rzeczywiście nieklamana sympatią obdarza autor postać Żelaśkiewicza, ale to za mało. Ani razu nie pozwala mu się zetknąć z Janem Feliksem na gruncie organizacyjno-politycznej roboty, w akcji partyjnej, w strajku — w działaniu. Tylko: albo przy wykonywaniu posług domowych (Jan Feliks rąbał drzewo u Żelaśkiewicza) — albo przypadkiem. Oto więc, jakie narzuca pisarzowi mały realizm który pozwala co najwyżej na przyjaźń Jana Feliksa z Żelaśkiewiczem, ale nie ukazuje nam tego fornała Jana Feliksa z tymże komunistą Żelaśkiewiczem na płaszczyźnie wspólnej politycznej walki z obszarnictwem, kapitalistą, sanacyjnym żandarmem. Jest jednak w powieści Koprow-

skiego rozdział tętniący żywą historią. To rozdział o latach pracy Jana Feliksa w hucie. Ten rozdział bogatszy jest w wydarzenia i problematykę istotnie doniosłą od dziesięciu pozostałych. Autor z talentem gawędziarza powiada w nim w sposób przejmujący o wyższych, zataragach z dyrekcją, strajku, terrorze sanacyjnym itd. Te fragmenty nie pozabawione są również momentów zamierzoności i osiągniętego żywiołu komizmu. A co charakterystyczniejsze, że dopiero tu, na tle masy robotniczej, postać Jana Feliksa nabiera rumieńców życia, indywidualności i dopiero tutaj z postaci tytułowej urasta do rozmiarów bohatera powieści. Koprowskiego. Z bezwzględnej przedmiotowości pisarskich studiów przeobraża się w czynny podmiot historii. Oto szansa, jakiej nastroziła tylko wielki realizm, który odnajduje człowieka nie tylko w rodzinie, w gronie przypadkowych znajomych, ale na tle klasy, jej walki, jej historii.

Skłonność do naturalizmu zaciążyły wydanie na styl „Opowieści o moim ojcu”. Naturalistyczna maniera językowa skaziła wiele pięknych kart tej książki. Przyskaż zwłaszcza przyskazała przez autora gwarę, na którą składają się zlepek regionalizmów, począwszy od mazurowania aż do wszelkich form gwary podkarpackiej. Nie w tym jednak upatrzyć główne niebezpieczeństwo dla prozy Koprowskiego.

Jeśli autor zreczeń, przy zachowaniu umiaru stosuje gwarę w dialogach, to chwył ten oczywiście ma określoną funkcję. W ten sposób, wzbogacając językowy dialog, nie przecze, pozwala na daleko posuniętą indywidualizację postaci, wydobycie koloru lokalnego. Inaczej rzecz się przedstawia gdy spotykamy się z gwarą w wypowiedzi od — autorskiej, w tkance narracji epickiej. Wówczas sprawa to wrażenie prymitywu i co gorsza manier stylizatorskiej. Jak choćby w tym fragmencie: „Jaki ten świat trudny. Gdzie nie spojrzysz okiem — barwy i kolory — gdzie nie nadszawisz uszu — szumy i szeleszy. Ani się w tym nie rozeznaj. I tyle tego”. To małe słówko „tyle” na wywołanie z czytelnika urok swojej krzepy, a w rzeczywistości maskuje do pewnego stopnia inteligentną beznadzieję: „jaki ten świat trudny”.

Bogdan Wojdowski



Jan Koprowski

O BOK prozy współczesnej wykuwającej wizerunek bohatera dnia dzisiejszego, walczącego o socjalistyczne jutro, doniosłą rolę ideologiczną spełnić może również powieść historyczna, jeśli bohater odnajdzie trafnie i utrwali jego obraz dla współczesności na tle minionych lat.

Zbeletryzowana biografia Jana Feliksa pióra Jana Koprowskiego jest taką nieśmiałą próbą utrwalenia sylwetki bohatera proletariatu. Do nadania opowieści Koprowskiego miana zbeletryzowanej biografii uprawnia krytyka sam autor, który ze ścisłością notarialną rozpoczyna powieść danymi o miejscu i czasie urodzenia bohatera.

Autentyzm tego rodzaju zbeletryzowanej biografii musi być umowny, literacki. Najwierniejszy biograf nie spisuje wszystkiego o postaci, którą opracowuje — lecz wybiera to, co uznaje za stosowne. Krytykowi oczywiście przysługuje prawo rewizji tego, co autor obrał z faktografii i przenosi do literatury. Przez to jednak, że autor akcentuje charakter biograficzny utworu, w dużym stopniu krepuje pióro krytyka. Mimo to, wydaje mi się rzeczą konieczną dyskusja nad realizmem fikcji powieściowej nawet wtedy, gdy kryje się ona wstydlive za biografią (Kott). Nie można chyba znaleźć lepszego przykładu na zbeletryzowaną biografie powieściową niż „Moll Flanders” Daniela Defoe. A jednak — co stanowi chyba o wielkości tego dzieła — w tej biografii siedemnastowiecznej ladaćnicy o wyjątkowo

*) Jan Koprowski. Opowieść o moim ojcu. Warszawa, 1950. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

BRONISŁAW CHECIŃSKI

PLEBISCYT

W ogrodzie zakwitły fiołki,
Jeszcze wczoraj ich pączki stulone
czekały na słońce, co ranniem
zabłyśnie po nocy spokojnej.

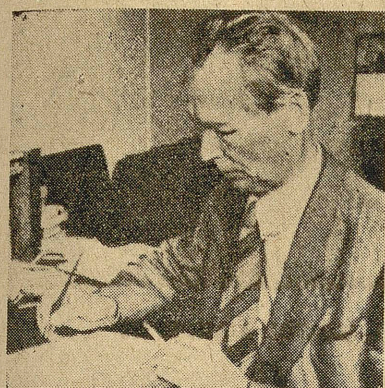
Gdy wreszcie majowe słońce
spojrzało z wierzchołka topoli,
wśród fiołków rozkwitłych szło dziecko,
szło ścieżką przez ogród do szkoły.

A szkoła się mieści w pałacu,
co strzela gótykiem nad zieleń,
pan Scheibler obrywał na placach,
pałace budował dla siebie.

W koronach drzew, dzieci ołrzyki
brzmia ptaków poćwierkom do stroju,
te głosy musimy policzyć —
te głosy — Plebiscyt Pokoju.

ZDZISŁAW WRÓBEL

Andrzej Upit i jego nagrodzona powieść



Andrzej Upit.

LITERATURA łotewska była u nas do niedawna równie nieznana, jak, powiedzmy, literatura Wenezueli, Madagaskaru czy Filipin. Na próżno szukalibyśmy w naszych bibliotekach datujących się sprzed wojny przekładów z literatury łotewskiej. Inicjatywa prywatnych wydawców, którzy potrafili przedrukowywać nierzadko kilkakrotnie pornograficzne czy kryminalistyczne powieści, hamowała udostępnienie polskim czytelnikom najcenniejszych dzieł literackich nawet wielkich narodów, a już zupełnie ignorowała mniejsze kraje. To wieloletnie zaniedbanie wyrównuje powoli planowa gospodarka wydawnicza Państwa Ludowego. Widać to choćby na przykładzie literatury łotewskiej. W ubiegłym roku ukazała się powieść Vilis Laciša „Nawalnica”, a ostatnio powieść Andrzeja Upita „Zielona Ziemia”.

Nazwisko Andrzeja Upita wymaga specjalnego omówienia, gdyż jest to niewątpliwie największy współczesny pisarz łotewski, który przez całe ostatnie czterdzieście lat znajduje się w centrum ruchu literackiego Łotwy. Andrzej Upit urodził się w r. 1877 w rodzinie robotnika wiejskiego we wsi Skriwieri. Niezwykle ciężkie warunki, w jakich upłynęło jego dzieciństwo, określiły jego dalszą drogę — drogę walki o zniesienie krzywdy społecznej. Tylko dzięki niezwykłemu uporowi mógł ten samouk awansować z pastucha na nauczyciela i następnie zająć się pracą literacką.

W swoich utworach Upit nawiązywał do realistycznej tradycji ugruntowanej przez wielkiego pisarza łotewskiego J. Rajnica (1865—

1929). Wyraźnie realistyczny charakter nosi seria jego znakomych powieści „Robeżnikowie”. W epopei tej znajdziemy wierny obraz wszystkich klas społecznych i warstw burżuazyjnej Łotwy. Szczególnie wyraziście przedstawione zostało życie chłopów, które Upit znał tak dobrze. Długoletni powieści tej serii „Nowe źródło” (1909) do szóstej „Stare cienie” (1934) widać wyraźną ewolucję ideologiczną pisarza. Gdy początkowo możemy zaobserwować dążenia do idealizowania życia chłopów, zacierania różnic klasowych, to w powieściach późniejszych, w miarę zbliżania się Upita do rewolucyjnego ruchu proletariackiego, obraz wsi staje się bardziej realistyczny, kulawy występują w swojej prawdziwej skrajności, a niedziela i poniedziałek biedy rodzi bunt przeciw ustrojowi wyzysku. Niektóre powieści Upita skierowane są bezpośrednio przeciw burżuazji, jak „Złoty”, „Kobieta”, inne potępiają wojnę imperialistyczną („Pod gromami”), jeszcze inne bronią niezawisłości narodowej przed niemiecką agresją („Pod żelazną pięcią”). Andrzej Upit cenił także jako utalentowanego dramaturga, wnikiwego krytyka i historyka literatury. W pracach z tej dziedziny, spośród których najbardziej znane są z okresu przedwojennego „Studia i krytyki” (1910—1911), „Sztuka proletariacka” (1920), „Historia najnowszej literatury łotewskiej” (1911—1921), opiera się na metodzie marksistowskiej.

Po faszyzacji Łotwy w r. 1934 postępowy pisarz był prześladowany i zmuszony do pisanego pod przybranym nazwiskiem. Dopiero wejście Łotwy do rodziny narodów radzieckich umożliwiło swobodny rozwój jego twórczości. Upit zajął się organizacją życia literackiego w swoim kraju, był jednym z kierowników Związku Pisarzy Łotewskich. Najbardziej heroicznie przeżył to, co Upit opuszcza Łotwę i udaje się w głąb Związku Radzieckiego. Tu pisze poważne studium „Historia powieści”, tragedie „Spartakus” i najlepszą swoją powieść pt. „Zielona Ziemia”, za którą otrzymał nagrodę stalinowską.

W latach powojennych, pomimo sędziwego wieku, Andrzej Upit pracuje bardzo wydawnie. Pisze artykuły krytyczne, recenzje, prace teoretyczne, wśród których na szczególną uwagę zasługuje „Este-

tyka realizmu socjalistycznego” i „Zasady realizmu socjalistycznego w literaturze”. W ostatnim okresie, w czasie zaostrzenia sytuacji międzynarodowej i wzrastania wojennej nagonki imperialistów amerykańskich, wielki pisarz — humanista, który już w młodości piętnował wojnę imperialistyczną, a w okresie walki z najazdem hitlerowskim w licznych opowiadaniach odkrywał prawdziwe, zwierzęce oblicze faszyzmu, teraz w artykułach publicystycznych demaskuje drańskie sens polityki międzynarodowej imperialistów, cyniczny i oszukańczy charakter ich górnolotnych i pustych manifestów o kulturze i cywilizacji. W tym roku Upit zamierza ukończyć powieść „Przedświt” o pierwszych przebiegach klasowej świadomości łotewskiego proletariatu w latach 90-tych ubiegłego wieku.

Udośćpioną polskim czytelnikom powieść „Zielona Ziemia” jest we wszechmiar znamienita zarówno dla metody artystycznej, jak i dla postawy ideologicznej pisarza. Daje on w niej obraz życia wsi łotewskiej końca ubiegłego stulecia. Obszarzy — Niemcy, pobierający z roku na rok coraz to większą tenetę dzierżawą, kulacy żyjący z wyzysku służby, czynszownicy pedząc nędzny żywot z łaski pana, fernali i dziewczyny, których cały dorobek mieści się w podartej chustce — oto bohaterowie powieści. Jan Waneg, pan na Brywinach jest typowym okazem wyzyskiwacza, który wraz ze swoją rodziną czuje się powołany do rządzenia nie tylko swym majątkiem, swoją służbą, ale całą wsią. Z pogardą odnosi się do biedaków, choć czasami okazuje im swoją „wspaniałomyślność”, rzucając psie ochłapy z pańskiego stołu, by jeszcze bardziej wykorzystać ich pracę. Nieludzki wobec służby, okrutny wobec przeciwników, nie ma nawet litości dla własnego, chorego ojca.

Nędzne i pełne poniżenia jest życie czynszowników i dzierżawców obarczonych licznymi rodzinami, ciężką pracą i nienawidzonymi swych gospodarzy. Niedziela i marzenie o kawałku ziemi i chociażby ciasnej, lecz własnej izbie skłania czynszownice Osichową do ożenienia syna Andrzeja z obłąkaną Alką posiadającą jakiś taki majątek.

Głęboką przepaść klasową dzie-

Literatura narodów radzieckich

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Powieść krajów demokracji ludowej

W Nr 86 „Lietieraturnoj gazety” T. Motylewa w artykule pt. „Rysy nowego bohatera” omawia stan młodego, wkraczającego na drogę realizmu socjalistycznego powieściopisarstwa w krajach demokracji ludowej. Na wstępie krytyk radziecki stwierdza, że jedynie wolność, jedynie budowa nowego socjalistycznego ustroju stworzyły mogły literaturę, dla której socjalizm, to już nie marzenie o dalekiej przyszłości, ale ucinająca i realna rzeczywistość. W związku z tym pisarze podpatrują i wprowadzają na karty swych książek przedstawicieli tej nowej rzeczywistości — budowniczych socjalizmu.

„Obraz bojownika-patrioty, człowieka, społecznego działacza — pisze T. Motylewa — otrzymuje w literaturze krajów demokracji ludowej rysy gospodarza, twórcy socjalistycznych stosunków w życiu. Nowy bohater kształtuje się i rośnie w trakcie procesu budownictwa w zwycięstwie walce w resztkami wyzyskujących klas. Ten bohater nie tylko trudzi się w imię socjalizmu, ale też widzi owoc swojej pracy”.

Kto jest tym bohaterem? Albo przodownik, członek brygady szturmowej, który inicjuje lepsze metody pracy, zwycięski współzawodnik jak np. Maksymow, bohater powieści bułgarskiego pisarza S. Daskalowa pt. „Odniesiony orderem”. Albo przywódca zespołu produkcyjnego, który wyszedł ze środowiska robotniczego, jak np. Janosz Dunaj ze sztuki węgierskiej pisarki E. Mandi „Bohaterowie dnia powszedniego”. Albo szeregowy — proletariusz, któremu nowy ustrój po raz pierwszy pozwala przejawiać twórczość inicjatywy, i własne zdolności, jak np. stary Karhan ze sztuki czeskiego pisarza W. Kani pt. „Brygada szlifera Karhana”.

Obrazy tych bohaterów zawierają czasłkę nowego życia, które narodziło się w krajach demokracji ludowej — nowego stosunku do pracy. T. Motylewa przypomina powiedzenie Lenina na temat nowego stosunku do pracy w okresie socjalizmu. Jest to praca „użyteczna dla całego społeczeństwa, podjęta nie dla spełnienia określonego obowiązku, ale w celu otrzymania prawa na określone produkty, nie przeprowadzone wedle zaważsu ustanowionych i określonych przez prawo norm, ale praca dobrowolna, praca poza normą...”

Bohaterowie literatury krajów demokracji ludowej, to już są ludzie patrzący daleko w przyszłość, natchnieni wielkim przykładem radzieckich narodów, które już zbudowały u siebie socjalizm. Przykład Związku Radzieckiego, wzory literatury radzieckiej czynią, że pisarze uczą się odnajdywać „romantyzm szlachetnych ludzkich uczuć i szlachetnych czynów w realnym życiu, w wyznaczonych przez dokonywanych przez cały naród...”

Socjalizm — przebudowa życia pociąga za sobą proces przekształcania się świadomości ludzi w skali masowej. Ludzie zmieniają się w sensie politycznym, ideowo-moralnym i kulturalnym. Literatura pokazuje powstawanie nowego bohatera, ujawnia proces wzrastania nowego w człowieku. Lenin uczył, że socjalistyczne społeczeństwo można i powinno się budować „z masowego ludzkiego materiału, zepsutego przez wieki i tysiąclecia niewolnictwa”. Lenin tłumaczył, że właśnie na przykładzie, w doświadczeniach socjalistycznego budownictwa ulegają zmianie obyczaje, charakter i przyzwyczajenia codzienne.

Pisarze krajów demokracji ludowej — podkreśla z uznaniem T. Motylewa — ukazują warunki, w jakich zachodzą zmiany w ludziach. Każdy z pozytywnych bohaterów przedstawiony został w procesie rozwoju, w walce z klasowym wrogiem i przeżytkami przeszłości. Jednocześnie przemiana, dorastanie do rangi bohatera odbywa się w otoczeniu ludzi innych, których przykład dnia agituje, przeobraża, prowadzi ku lepszym. W ten sposób rośnie bohater i rośnie stwarzająca go społeczność.

Sukces pisarza stanowi zarazem sukces wychowania nowego społeczeństwa. Przykład pozytywnego bohatera, który sam rośnie i doskonale się walczy z wrogiem klasowym i przeżytkami przeszłości, oddziałuje na wychowanie na czytelników. Stworzone przez pisarzy obrazy budowniczych nowego życia, społecznych działaczy, przodowników pracy stanowią wychowawcze przykłady dla milionów ludzi pracujących. Im bardziej wymowne są te postaci, im bardziej nasycone prawdą życia i stworzone z talentem, tym silniej oddziałują.

„Opanowanie współczesnej tematyki, stworzenie szeregu postaci, uosabiających bohaterstwo wyzwolenia pracy — pisze T. Motylewa — to duże twórcze zwycięstwo producentów literackich sił w krajach demokracji ludowej. Ale niepodobna przemilczeć twórcze trudności, na które napotykał wielu pisarzy opracowujących nowy złożony materiał życia”.

T. Motylewa dla przykładu przeprowadza rozbiór zalet i wad po-

W sztette krytyki radzieckiej

wieści A. Scibora-Rylskiego „Węgiel”. „Jest to — mówi krytyk — dziełko — jeden z najciekawszych utworów mojej, polskiej prozy na temat budownictwa socjalistycznego. Właśnie dlatego trzeba mówić otwarcie nie tylko o mocnych, ale i o słabych stronach tej książki”.

Bohater Jan Migoń, górnik wysunięty na stanowisko wice-dyrektora kopalni „Anna Weronika” wyraża „pawos socjalistycznego budownictwa”. Charakter Migonia zawiera rysy nowego człowieka w Polsce i wypowiada się w jego czynie, który recharakteryzuje wieka czystość moralną i bezinteresowność, wysokie poczucie odpowiedzialności przed krajem za swą pracę.

„Zalety Migonia jako kierowniczego członka społeczeństwa o nowym typie wyraźnie występują na jaw w ewoluacji starcia z przedstawicielami starego konserwatywnego i obcego dla ludu środowiska inżynierów. Gdy naczelny inżynier Prosty uznaje za słuszną jedynie metodę pokrzykiwania i całkowitej paskiwej pogardy wobec górników, to Migoń odnosi się do nich w sposób koleżeński. Przysucone są krytyce górników, chce podnieść ich twórczą inicjatywę. Jednocześnie w przeciwieństwie do dyrektora kopalni Zielińskiego, człowieka bez kregosłupa, który podważa bumeantem, Migoń przejawia nieubłagana surowość w wypadkach dezorganizacji produkcji. W stosunkach z górnikami Migoń występuje jako surowy zwierzchnik i czynny wychowawca: podtrzymuje produkcyjnych ludzi, pomaga odzyskać właściwą postawę górnikom chwiejnym, odsuwa od kopalni tych, którzy szkodzą sprawie...”

T. Motylewa widzi w postaci Migonia traktat uchwycioną typowość i cechę najwężniejszą: wyrastanie robotnika na kierownika produkcji, wyrastanie poprzez walkę klasową, przez pokonywanie przeszkód i trudności.

„Ale słabym miejscem powieści jest zobrazowanie osobistego życia niektórych występujących bohaterów, a w pierwszym rzędzie samego Migonia...”

„Miejscami powieści pisarz pragnie widocznie jak najśliszej podkreślić potworność ginącego świata, starego życia daje w opowieści natok ordynarnych naturalistycznych epizodów. Odpychających cechami odraża częściowo zone Migonia — amoralną, wulgarną mieszczańską, która zdradza meża i tyranizuje dziecko. Przy tym autor tak chciał, że Migoń całkowicie pochronej swoją pracą, długi czas po prostu nie zwraca uwagi na to, co dzieje się w jego domu...”

„Oczywiście, nikt nie oczekuje od artysty, żeby ten koniecznie przedstawiał całowitego przedstawiciela społeczeństwa, jako skomponowany wzor wszelakich zalet. Walka starego i nowego odbywa się nie tylko w społecznym życiu, ale i w życiu codziennym, również w psychice ludzi. Pisarz ma obowiązek prawdziwie oddać te walki, żeby pomóc w przewyciężeniu przeżytków przeszłości. W danym wypadku autorowi to się nie zupełnie udało. Czytelnik w rezultacie nie wie, jak rozstrzygnięty został rodzinny konflikt Migonia. Pozostaje wrażenie, że w charakterystyce Migonia jakoś nie wszystko jest doprowadzone do końca. Czytelnik nie chce uwierzyć, że by człowiek pełen zapału i wymagający w pracy był tak krótkowzroczny i niezaradny w prywatnym życiu...”

Najlepsze cechy Migonia przejawiają się w jego pracy, w kierowaniu kopalnią. Ale duchowe oblicze Migonia mimo to zostało oddane w sposób niepełny, jest zubożone. Wewnętrzny świat, myśli i uczucia nie pokazane głęboko. Ale podobne drobne rysy — zamykanie się w sobie, chmurność — odnajdujemy też u Boczara (bohatera powieści E. Pytlakowskiego „Fundamenty”) i u Goryczana (bohatera powieści M. Kowalewskiego „Kampania znaczy walka”). Pewnie rys oschłości, dążności do ascezyzmu cechuje też Maksyma Maksymowa, bohatera powieści S. Daskalowa „Odniesiony orderem”. Czy autorzy wyżej wymienionych książek uważają, że bohater pracy, działacz społeczny, koniecznie musi być ascetą, dla którego obca jest umiejętność radosnego życia, ludzkie ciepło uczucia?

Krytyk radziecki podkreśla, że pisarze krajów demokracji ludowej opanowali sztukę zobrazowania kolektuwy, ale nie umieją w równym stopniu przedstawić pojedynczego bohatera. Ludzie występujący w książkach czy to A. Biernaskowej (czeskiej pisarki), czy E. Mandi (Bohaterowie dnia powszedniego), czy K. Karasłowowa (bułgarskiego pisarza), czy wreszcie sam Migoń, bohater „Węgla” A. Scibora-Rylskiego, są za mało indywidualizowani. A przecież w utworach cech typowe wypowiadają się najlepiej przez zobrazowanie cech indywidualnych.

Przewyciężenie tych wad nastąpi w nawiązaniu do rodzinnej literatury klasycznej i za przykładem produkcyjnej beletrystyki radzieckiej.

Grzegorz Timofiejew

LEONARD WALLICHT

Na Białorusi

Cóż to jest ta nasza Białoruś? Są to zachodnie kresy Rosji. Zachodni kraniec Rosji i nie więcej. Z czego słynie? Z niczego! Chyba tylko z nieprzebytych bagien i z choroby zwanej kołtunem... Toteż z niechęcią, a czasem i ze wstydem odwracamy się od tego, co rodzime... Każdy naród ma swoją narodową dumę. A my dotychczas nawet nie przyznajemy się, że jesteśmy Białorusinami. Na głowę naszą każdy, kto chciał, wylewał pomysł, wymyślano nasz język, nasze obyczaje, kulturę... Takie zdanie o swojej ojczyźnie wypowiada Łobanowicz, główny bohater powieści Jakuba Kołasa (Konstantyna Mickiewicza) p. t. „W polskiej guszy”. Akcja utworu toczy się w carskiej Rosji bezpośrednio przed złotym 1905. Pisząc o kapitalistycznym państwie miał Kołasa pełne prawo wyłożyć takie oskarżenie w usta bohatera swej powieści. Imperialistyczny rząd carski stosował względem małych narodów politykę tzw. „asymilacji”: sztucznie hamował ich rozwój kulturalny, uciskał i starał się wyniszczyć fizycznie. Ołbrzymią większość przedrewolucyjnej Białorusi stanowił analfabeci, gniebieni przez carskich urzędników i właścicieli ziemskich. Rewolucja Październikowa gruntownie stan zmieniła. Narody w kapitalistycznej Rosji uciskane, o których istnieniu niejednokrotnie nikt przedtem nie wiedział, uzyskali teraz możliwość swobodnego i wszechstronnego rozwoju. W republikach Związku Radzieckiego powstała bogata i różnorodna literatura tych narodów. Dlatego dobrze się stało, że spółdzielnia wydawnicza „Książka i Wiedza” wydała w serii „Literatura Narodów Związku Radzieckiego” dwie (w jednym tomie) powieści pisarza, który zapoczątkował białoruską prozę „W polskiej guszy” i „Trzęsawisko”.

„W polskiej guszy”, powieść niewątpliwie w znacznej mierze oparta na materiale autobiograficznym, napisana została w latach dwudziestych. Tematem jej jest praca inteligenta — nauczyciela wiejskiego, Andrzeja Łobanowicza, nad poprawą położenia chłopstwa polskiego. Łobanowicz, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego, pełen zapału i miłości do ludu, przybywa na wieś (do Telszyna, później do Wygonów), by szczerze pracować nad wyciągnięciem chłopów z wiekowego zacofania. Wkrótce jednak przekonuje się o bezcelowości swoich wysiłków. Łobanowicz mimo starań nie potrafi nawiązać szczerego i bliskiego kontaktu z ludem. Na organizowanych przez siebie pogawędkach nauczyciel przemawia pięknie, z natchnieniem opowiada chłopom o tym, że każdy człowiek dąży do tego, by życie swoje uczynić lepszym i równocześnie przynieść pożytek innym, ale w romantycznym uniesieniu nie dostrzega

antagonizmów klasowych, klasowego wyzysku, nie widzi istotnych przyczyn nędzy i ciemnoty ludu. Dlatego też Łobanowicz nie potrafi chłopom wskazać realnych sposobów polepszenia ich bytu i dlatego jego słowa nie znajdują zrozumienia. Pod wpływem tych rozczarowań, Łobanowicz ogarnia pesymizm: myśli o obłudzie świata, o śmierci. Zbliżają się jednak wypadki r. 1905. Nielegalna literatura uczy młodego nauczyciela słusznego rozumienia otaczającej go rzeczywistości. Łobanowicz poznaje właściwe miejsce bojownika o wyzwolenie ludu: nawiązuje łączność z pińskimi socjal — demokratami. Pesymizm go opuszcza. Powieść kończy się aresztowaniem Łobanowicza, już po zdławieniu rewolucji, za zdradę i podżeganie do Skirmunt, do magającej się zwrotu bezprawie przez obywateli używanych chłopskich terenów rybnich. Tak przedstawia się w wielkim skrócie droga Łobanowicza od marzytelności i mglistych prób poprawy losu chłopów do świadomego działania w rewolucyjnej.

Czy jednak czytelnik kończy lekturę w przekonaniu, że Łobanowicz stał się prawdziwym rewolucjonistą? Łobanowicz nauczył się szlusznej analizy otaczających go zjawisk z nielegalnej literatury, nie zdobył jej wśród doświadczeń walki klasowej. Ta książkowa wiedza nie mogła „przerobić” inteligenta i natchnionego marzyciela w płomiennego bojownika o wolność ludu, jakim w założeniu autora ma być Łobanowicz. W nauczyciela musiałby pozostać resztki dawnego inteligenta — „romantycznego” światopoglądu i takiej samej metody polepszenia doli chłopów. Czym jest na przykład dla Łobanowicza aresztowanie? Niezwykłe pociągającym wydarzeniem, którego nie może się doczekać. Łobanowicz pragnie być uwolniony, ponieważ więzienie posiada dla niego urok losu bojownika o wolność i prawdę. „Od tego trzeba było zacząć” — mówi dumnie, kiedy wreszcie policja go aresztuje. O inteligentkiej bojaźni przed naprawdą rewolucyjnym czynem, o inteligentkim stosowaniu pośredników i kompromisów świadczy wspomniany już wypadek ze Skirmunt. Chłopi podczas rewolucji postanawiają siłą odebrać swą własność. Przed atakiem na majątek Skirmunta wstrzymał ich Łobanowicz i motywując to nieporozumieniem, namawiał chłopów do wystąpienia petycji z żądaniem. U podłoża takiego postępowania tkwi niewiara w pomyślność rewolucji, a przecież wypadek ze Skirmunt miał miejsce w chwili, gdy wszystko przemawiało za zwycięstwem proletariatu. Trzeba więc stwierdzić, że pełne zobrazowanie Łobanowicza jako rewolucjonisty autorowi się nie udało. Mimo widocznych wysiłków Kołasa, Łobanowicz pozostaje „roman-



tykiem” i „inteligentem”, który w pewnych momentach sprawia wrażenie, jakby bawił się „w rewolucję”, który, gdy ruch chłopski przybiera radykalniejsze formy — cofa się.

Czy twórca Kołasa daje pełny, wyczerpujący obraz ówczesnej rzeczywistości polskiej? Powieść bardzo plastycznie ukazuje środowisko inteligencji wiejskiej, ale ma poważne niedociągnięcia. Typy jak: nauczyciel Sochaniuk, Turusiewicz i Szeroki, ojciec Cyryl, palmista Bocianowski, redaktor Buchberg. Jest to środowisko tępych karierowiczów, wyzyskiwaczy, pijaków, śmiechów, opętanych jakąś „ideą fixe” albo jak Turusiewicz, ludzi podobnych do Łobanowicza: samotnych marzycieli. Ale o ile barwnie i ile prawdziwie zostało przedstawione środowisko inteligencji, o tyle blade i mało wyraziście ukazał autor w swej powieści lud wiejski. Lud ten występuje w powieści, niemal aż do jej końca, jako dokładniej nieokreślona masa. Jeżeli w kilku miejscach Kołasa bliżej ukazuje życie wsi, to czyni to od jego jakby „egzotycznej” strony (np. spór chłopów o święto, historia przyjęcia prosiory przez Bucza, postać wujka Jesupa). Natomiast prawie niczego nie dowiadujemy się o rzeczywistych sprawach wsi, wynikających z istnienia podziału klasowego. Interesy klasowe ludu zostały przez autora zatarte. Jak szlusznie podkreślono w postawie, w powieści nie ma echa buntów chłopskich, które w przeddzień roku 1905 miały miejsce na Polesiu. Jedyną postacią klasową uświadomioną jest Aksien Kal.

Wartość powieści tkwi w samym temacie: ukazaniu wysiłków jednostki, zmierzającej do wydobycia ludu z ciemnoty i zacofania. Praca Łobanowicza, płynąca ze szczerze chęci polepszenia doli ludu, budzi w czytelniku sympatię i stanowi, o pozytywnej ocenie utworu, mimo, że nie wszystkie czynu nauczyciela są artystycznie umotywowane, a i sama jego postać wywołuje pod koniec książki zastrzeżenia. Powieść dostarcza także bogatego materiału poznawczego do życia Polesia sprzed kilkudziesięciu lat. Materiał ten dotyczy jednak raczej obyczajowości tego kraju.

Druga powieść Kołasa zamiesz-

czona w omawianym tomie p. t. „Trzęsawisko” jest utworem ideologicznie znacznie dojrzalszym. „Trzęsawisko” opowiada o czasach wojny interwencyjnej, kiedy na młode republiki Związku Radzieckiego napadły obce państwa, by zniszczyć plan Rewolucji Październikowej. Powieść ukazuje zaciekłą walkę ludu polskiego z legionami Piłsudskiego. Osią konstrukcyjną utworu są partyzanckie losy dziadka Tałasa. Dziadek znalazł się w partyzanckim oddziale raczej przypadkowo. Zaprowadziła go tam chęć zemsty na wrogu za osobiste krzywdy. Później jednak pod wpływem nieustraszonego rewolucjonisty, bolszewika „Niewiedzielnego”, dziadek właściwie zrozumiał swoje miejsce wśród walczących patriotów białoruskich i stał się dzielny i umiejętnym dowódcą partyzanckiego oddziału, nieustraszonego bojownikiem o wyzwolenie ludu. Dziadek Tałas wydławił pomagał Armii Czerwonej i oczekiwał się dnia, w którym oswobodziła ona jego wieś rodzinną. W przeciwnieństwie do obrazu z pierwszej powieści, dziadek przedstawiony w „Trzęsawisku” odznacza się dużą świadomością klasową. Partyzanci są świadomymi rewolucjonistami, wiedzą o co walczą, a w nieprzyjacielskiej armii potrafili odróżnić klasowego wroga. „Trzęsawisko” zawiera także znacznie więcej prawdy historycznej niż „W polskiej guszy”. Ostro przeprowadzony podział klasowy, postaci świadomych bojowników o wolność ludu, ukazanie odrażających postępów okupantów — oto ideowe zalety „Trzęsawiska”. Są oczywiście również i wady. Niedostatecznie pogłębione konflikty, brak kompozycyjnej wartości (przejawiającej się również i w pierwszej powieści) — świadczą o pewnych niedociągnięciach metody artystycznej pisarza.

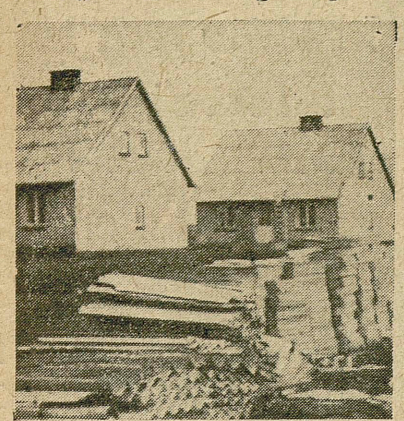
Książka Kołasa, klasyczna proza białoruskiej, ukazująca życie i walkę bratniego narodu, stanowi cenną pozycję wydawniczą w naszej literaturze tłumaczonej i zdobydzie na pewno liczne rzesze polskich czytelników.

Leonard Wallicht

* Jakub Kołosa: „W polskiej guszy”, przełożył Stanisław Furmank. „Trzęsawisko”, przełożyła Zofia Ryska. Książka i Wiedza. 1950 r., str. 506.

WOJCIECH SMULA

Na cenniejszy kapitał — człowiek



Kiedy na długi stół wjechały dzbanki z czarną kawą i czerstwy chleb — Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i liche gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrżeli się do tyłu, skąd zbliżał się Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

raz „inwencja” ob. Matys powtórzył dwukrotnie, są dużym krokiem naprzód... tu kierownik stołówki wyczał chwilę, spodziewając się rzęsistych braw, ale zamiast oklasków usłyszał znowu głos Bartolika:

— Dużym krokiem, ale gdzie, panie Matys?

— Jakto gdzie? — stropił się kierownik.

— Ano tak — ciągnął Bartolik, — bo komu potrzebna jest ta „oszczędność” niczego nikomu nie dająca? Komu?

Kierownik Matys czerwony jak piwonja zeskoczył ze stołu i odprowadził.

— Jakto komu? Nam...

— Nam? — zdziwił się Bartolik. — Ja jestem przodownik pracy, wykonuję średnio na żn.w. 140% normy, a jem w tej waszej stołówce za pół chłopa. Co mi daje ta oszczędność? Nie, panie Matys! Całkiem nic!

Opisane wypadki w PGR Krapiel są autentyczne i dotyczą bynajmniej nie bagatelnej sprawy. Oto niedawno temu pisał w „Chłopskiej Drodze” syn farnala Piotr Gierczak z Pnieszyna pow. opatowskiego na temat warunków życia robotników folwarcznych w Polsce sanacyjnej. „Matka nie mogąc patrzeć na nasze głodne gęby odejmowała sobie od ust ostatni kasek chleba. Sama szła wycieczona na posługi do „jaśnie pana”.

Gierczak jest dziś przodownikiem pracy w spółdzielni produkcyjnej. Za ofiarną pracę ma zapewnione odpowiednie warunki życia. Gorzej — jak się okazuje — z Bartolikiem i innymi przodownikami pracy w PGR Krapiel.

Człowiek jest najcenniejszym kapitałem Polski Ludowej. On jeździ, przekształca, buduje rzeczy, warunki na rozwój socjalizmu. Troska o jak najlepsze warunki pracy, nierozłącznie związana z produktywnością człowieka obowiązuje wszystkie instytucje służby społecznej.

Podejrzewamy, że Matysów jest w Polsce więcej, zwracamy uwagę na ich szkodliwą działalność.

Wojciech Smula

PIOTR PIGWA

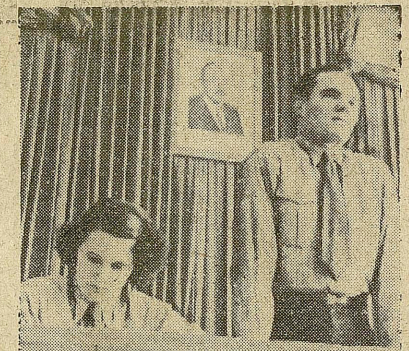
Rozwinać żagle

Myślę, że każdy kto wjeżdża do obozu Akademickiego Zrzeszenia Sportowego w Mikołajkach, leżących na ziemi mazurskiej — powinien zwrócić szczególną uwagę na szlaban strzegący wejścia. Ten kawałek belki umieszczony w poręku drogi ma tu symboliczną wymowę. Przyjeżdżającego urzeka najpierw czar mazurskiej przyrody, wiatr dmiejący w żagle łodzi, będzie grał zapamiętałe w siatkówkę, szczypleniaka i koszykówkę, kapał się, włożył kajakiem po pięknym jeziorze, jechał na dwóch i tańczył wieczorami. Dopiero po kilku dniach, gdy oprzytomnieje — przypomni sobie o szlabanie.

Jeżeli uczeni fizycy nie odkrywają w tym roku absolutnej próżni w jakiej żyją sportowcy z AZS-u na obozie w Mikołajkach, to w przyszłym roku stracą zapewne tę jedyną w historii szansę. Odkryć i dokonać powinni, ponieważ takie oderwanie od terenu, tak gruntowna izolacja społeczna wartości odnotować w poważniejszej niż nasza kronika.

Poza wspomniany szlaban nie wystąpiła się z obozu ani jedna ekipa agitatorów, a wokół trzeba zakładać kola sportowe. Młodzież wiejska ma tam o sporcie takie pojęcie, jak przysłowiowa kura o pieprzu. Jesteśmy wyrozumiali, nie żądamy nawet od AZS-ów działających ściśle i bezpośrednio politycznej, niech propagują przynajmniej konieczność rozwoju kultury i fizycznej. Ale jak dotąd — nic z tego.

A w obozie, jego życie wewnętrzne? No cóż, akademicy w piłkę grają, uczą się pilnie żeglarki — to trzeba im przyznać. Dobrze także robią nie zapraszając nikogo z okolicy na swoje wieczory świetlicowe. Chociaż niektóre numery programu bywają interesujące i dobrze wykonane to — całości daleko do rewolucyjnego, bojowego ducha współczesnych robotniczo — chłopskich akademików. A już słowo wiążące straszy wprost przeszłością, często żywem zaczerpnęte z mieszczańskiej rewolki. Ja za wodą — ty za wodą, jakże ja ci rączkę podam — śpiewają młodzi sportowcy.



Mają łodzie, żagle i wiatr, a nie mogą podać ręki swoim współkolegom z obozu społeczno-wypoczynkowego, rozłożonego po drugiej stronie jeziora. A przydałoby się, bo tu robota społeczna idzie na całego.

Wyjeżdżają regularnie ekipy robotnicze do PGR-u w Wólcach, pracując przy peleniu buraków, zwożąc trawę, pomagając przy sprzączeniu pól. Rewolucyjność młodzieży z tego obozu łamie przeszkody w pracy społeczno-politycznej. Powiedzieliśmy młodemu aktywistom w Zarządzie Powiatowym ZMP w Mrągowie, żeby po wsiach nie jeździli, bo ich psami chłopci poszczują. Nic takiego się nie stało. W Prawdowie założyli koło gospodyń. A psy merdają przyjaźnie ogonami. Sekretarz partii dostał po skórce za opieszałość, oberwała też i Miejska Rada Narodowa w Mikołajkach, w której zawsze psuły się telefony akurat wtedy, gdy trzeba było zawiadamyć ludność o odczycie politycznym kogoś z akademickiego aktywu.

Na uruchomienie i wyposażenie obozów wypoczynkowych wyklada nasze państwo ludowe obywateli fundusze spodziewając się słusznie, że młodzież akademicka nie tylko wypocznie lecz równocześnie zdynamizuje ostateczne życie społeczne nadających się jeszcze tu i ówdzie — na zapadłych partykularzach.

Ej koledy-osportowcy z Mikołajek! Nie wolno płynąć pod prąd, zwłaszcza jeżeli jest to prąd dziejowych przemian.

Piotr Pigwa

TADEUSZ SŁUPECKI

Do satyryków

Starsze pokolenie satyryków polskich czuje się na ogół świetnie. Raczej w „folklorze” miejskim. Woli po prostu nicować po raz setny z kolei przenicowaną już 99 razy kulkę nieszczęsnego biurokraty „miejskiego” oraz typów pokrewnych w ich 99 odmianach, niż raz solidnie dobrać się do skóry bardziej krwistego i nawet jako temat satyryczny bardziej interesującego kuliaka, czy innego wiejskiego szkodnika.

„Wiesz” posiada jednak przysłowiową chłopską naturę — jest uparta. I dlatego stale będzie zwracać uwagę „miejskich” satyryków na tematy wiejskie. Zresztą — o tym również pisało już wielokrotnie — takiej satyry domaga się także inna wieś. Ta składająca się z mas pracujących chłopstwa, które w ciężkiej walce klasowej z kulakami dobija się nowych form gospodarki i kultury.

Ale dajmy spokój satyrykom, a przejdźmy do kuliaków. Oto oni: Jest w powiecie grójckim gromada Kozietuły Stare. Jest sołtyś gromady Rutka. Jest także Gminna Rada Narodowa. Są oczywiście i chłop, wśród których — wielu młodoletnich. I jest 16 żniwiarek, które należą, rzecz jasna, do miejscowych kuliaków.

W Kozietułach odbywają się — podobnie jak w całym kraju — żniwa. A skoro są żniwa, to powinna tu funkcjonować i pomoc sąsiedzka. Bo oprócz 16 kuliaków, których opatrność (jak twierdzi on) i wyżył (jak twierdzi biedota) zaopatrzony w konie i żniwiarki, dalej oprócz średniaków, posiadających już tylko same konie i to właściwie nie wiadomo jakim cudem — jest tu jeszcze sporo młodoletnich. Tych już opatrność nie rządziła jakoś wyposażać nawet w konie. SOM-y z braku odpowiedniej ilości sprzętu nie wszystkim chłopom mogą zapewnić pomoc maszynową.

Tymczasem, pomimo istnienia wszystkich elementów, niezbędnych dla wprowadzenia w życie dekretu o pomocy sąsiedzkiej, t.j. istnienia potrzebujących pomocy i mogących ją dać — kuliacy w Kozietułach Starych gospodarują sobie nadal po staremu. Wypożyczają maszyny „za odrodek”. Wbrew dekretom rządowym. Wbrew interesom biedoty wiejskiej. A najpiękniejszym szczegółem w całej tej sprawie jest to, że poczytywał Rutka uprzedzić wieść, iż w Kozietułach kuliacy pomagają biedocie „sami z siebie”, z „dobrej woli”.

Tak, jak to czynili już oddawna. Jeszcze za czasów wojny rosyjsko-japońskiej, wywołanej przez „dobrodusznego” batiuszkę cara Mikołaja II.

Gdyby satyryków nie zadowolił powyższy temat, pozwól sobie wskazać im inny. Oto w czasie przygotowań do żniw w roku pańskim 1951 do PRN w Kutnie GRN z Rdułowa nadszła sprawozdanie, w którym całkiem urzędowo i poważnie donosi, że „obywatele tamtejszej gminy, niejacy Stelmachowski, Kazimierzczak i Machina, utrudniają pomoc sąsiedzka, nie chcą za nią odrobić”.

Tu można by postawić kropkę, gauby nie fakt, że PRN w Kutnie do lipca b.r. nie miała żadnych zastrzeżeń do cytowanego sprawozdania. Jak jest obecnie — stwierdzam lojalnie — nie wiem.

Wyciągnięcie wniosków i konsekwencji pozostawiam PRN w Kutnie, a także — satyrykom.

Tadeusz Słupecki

JERZY SMUTNY

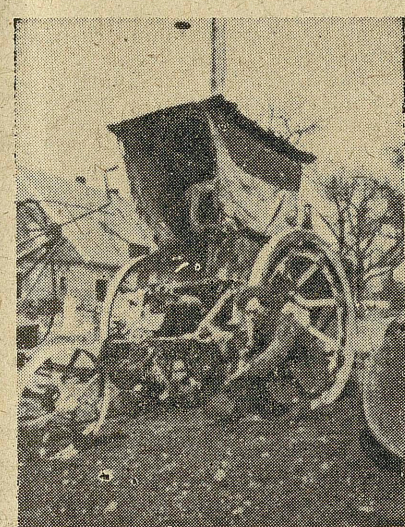
Jaki POM — taki plon

W środkowej części województwa kieleckiego, wzdłuż rzeki Kamiennej, według z ust do ust nowe przysłowie: Jaki POM — taki plon. Przysłowie to zawdzięcza swe istnienie dobrej sławie POM-u 114 z Daniszowa. Jest też istotnie, że co chwila daniszowski ośrodek. Zżeli żręgni chłopskiej zbroja, wykonali podorywkę pod popłyny w trzech spółdzielniach produkcyjnych — jak to się powiada — migiem. Zahucały z kolei ich maszyny na małych poletkach drobno i średniorolnych chłopów. Obróbił tysiąc indywidualnych gospodarstw w terminie to prawdziwy sukces!

Nie chodzi nam jednak o podkreślenie faktu starannego przygotowania maszyn do pracy, czy niezwykłej sprawności w toku robót żniwnych. Każdy POM przede wszystkim planuje, a dostosowanie planu do istotnych potrzeb i warunków obsługiwanego rejonu rozstrzyga o przebiegu żniw i omłotów. Jeżeli np. w gminie Lipsko zaczyna już spaść się zboże — trzeba jechać tam natychmiast z maszynami, choćby plan przewidywał, że nastąpić to powinno w innej gminie. Tak właśnie dostosowywali swój plan pomocy z Daniszowa, zyskując sobie powszechne uznanie chłopów.

Piszemy te słowa w nadziei, że zawstydzą one kierownictwo POM-u 144 w Kleszczelach. Tam od początku źle się działo. Maszyny przygotowane do pracy, lecz na papierze Tymczasem sprawozdaniem, choćby jeszcze piękniejszym niż Kleszczelskie — zboża nie zbierzesz. W przedżniwniej deklaracji założył się do roboty od słów: wykonamy, przyrzekamy, zmobilizujemy, ale któż to wykona sprawnie żniwa przy pomocy samych tylko deklaracji? Nie potrafiła tego nawet załoga POM-u 144.

Rzeczywistość przesłała marzenia największych pesymistów. Dyrektor Simonienko trudnił się o kresie żniw reperację uszkodzonych snopowiązałek, a kierownik Wydziału Politycznego wyjechał sobie na wczasy. W Dudylach stała beczynnie sprawną snopowiązałką, podczas gdy w Daszch, Wólce Wygonowskiej i innych wsiach usiłowano zebrać zboże przy pomocy uszkodzonych. Dwie snopowiązałki



porosły mchem ponieważ Dyrekcja sprawdziła nieodpowiednio do nich traktory. Kilka innych snopowiązałek miało się być planu od wsi do wsi, a załoga daremnie usiłowała sprostać potrzebom.

Żałoga POM-u 114 odegrała na swoim terenie decydującą rolę w bitwie o chleb. Odegrała ją i w walce klasowej. Jeżeli chłop z rejonu Daniszowice korzystał z państwowych maszyn to równocześnie zrygnęwali z kulackich. Rzecz nie bagatelna dla sytuacji klasowej. Kulakowi odebrano przedmiot wyzysku — najmuje się chłop. Daniszowiaczy podjęli więc korzenie wyzysku. A Kleszczelacy? Ci nolens volens je pielegnowali, dzięki bumelanctwu mechaników, porzuceniu najodpowiedzialniejszego stanowiska — przez kierownika Wydziału Politycznego, dzięki brakowi jakiegokolwiek planu pracy.

Bieżąca sytuacja na wsi zwykło się krótko określać jako epokę POM-ów. Ośrodek 144 też epokę zaszczytu — jak dotąd nie przyniósł. Mamy wszelkie nadzieje, że się poprawi już przy orkach i siewach jesiennych.

Jerzy Smutny

AGNIESZKA WOJTASZ

Pan prezes urzęduje

Zebrał wyborców gminnej spółdzielni w Kropicy (woj. świętokrzyskie) dobiegało szczytowego punktu. Z trybuny ustąpił dwudziesty ósmy i ostatni już z dyskusyjnymi, aby na zakończenie swych długich wywodów stwierdzić tradycyjnie, że „on i wszyscy zebrani na sali kroczą szybkim marszem do socjalizmu”. Wtedy, po odczekaniu przepisywanych okłasków, znad stołu prezydialnego uniósł się z wyrazem ważności i urzędowej powagi czerwone oblicze przewodniczącego Kocurka. Przez chwilę grzebał nerwowo w teczkę ze świnińskiej skóry, wyrzucając na stół masę pomietanych papierków, po czym głęboko odetchnął, kiedy znalazł wreszcie niewielką karteczkę.

Na sali zalega cisza, umilkły szepty, chłopcy z przejęciem wpatrywali się w czerwone oblicze przewodniczącego, który po oficjalnym odchrząknięciu oświadczył:

— Właśnie do przedziwnego wpływu z sali lista obywateli, proponowanych na członków zarządu spółdzielni. Są to koledy: Juryś, Gałeczki i Macoszka...

Chłopcy poruszyli się niespokojnie. Dwóch z proponowanych znali, natomiast nazwisko kol. Macoszki słyszeli po raz pierwszy. Jeden ze śmielszych nie wytrzymał i podniósł wysoko rękę.

— W kwestii formalnej — powiedział — ale kto to jest ten „trzeci”, którego proponujecie? Bo tu, w naszych stronach nikt go nie zna...

Przewodniczący Kocurek pośmiał się, zrobił wiele niepotrzebnych gestów rękoma, z opresji wybrał go przedstawiciel PZGS-u, który z zacięciem podniósł się z miejsca. Tak wspaniałego przemówienia chłopcy w Kropicy dawno już nie słyszeli. Przy okazji dowiedzieli się, że aczkolwiek prawdą jest, że kandydat w tych stronach jest nieznan, to lepszej kandydatury być nie może, zarówno pod względem ofiarności w pracy i oddania sprawie Polski Ludowej, jak i pod względem fachowego, handlowego przy-

BARBARA MATEUSZOWA

Z chłopów — robotnik

Pragniemy w tej nocy zwrócić uwagę na sprawę, która od dłuższego już czasu absorbuje uwagę korespondentów prasy robotniczo-chłopskiej. Chodzi nam mianowicie o robotników pracujących w rozmaitych instytucjach na terenie wsi.

Czytelnicy „Chłopskiej Drogi” z dnia 5.VIII. 51 r. nie bez zdumienia zapoznali się z perypetiami robotników sezonowych z nadleśnictwa Dżicy-Las (gm. Swobodnica, powiat Gryfice). Ludzie ci, przeważnie drobni, lub bezrolni chłopcy czekali dobrych kilka miesięcy na otrzymanie wypłaty. Okazuje się, że praca idzie tam szybko, często jednak bywa gorzej z procedurą otrzymania zapłaty.

O podobnym wypadku donosi nasz korespondent z gminy Jastrzębie, pow. Lipno — Seweryn Skulski.

Sprawa nie jest błaha. To nie tylko bezmyślność jakiegoś gminnego biurokraty, ale przejaw walki klasowej.

Co roku bowiem odpływa do zawodów pozarolniczych kilkaset tysięcy ludzi ze wsi. Dla wielu z nich pierwszą formą związania się z przemysłem jest praca w charakterze niewykwalifikowanego, sezonowego robotnika. Dopiero później w toku pracy zdobywają oni kwalifikacje zawodowe i wiążą się już na stałe z przemysłem.

Dlatego też obojętność w przestępcaniu terminów wypłat, stwierdzona w tych na szczęście nielicznych wypadkach stanowi ważny problem. Wrogowi klasowemu zależy bowiem na zahamowaniu procesu przechodzenia chłopstwa pracującego do szeregów klasy robotniczej.

Korespondenci prasy robotniczo-chłopskiej czynią dobrze, zwracając często uwagę na nadużycia i bezprawie, dokonywane przez wroga przy przesuwaniu się chłopstwa na pozycję klasy robotniczej.

Barbara Mateuszowa

Nieco lepiej prezentuje się czasopismo „Bibliotekarz” (dwumiesięcznik). Przede wszystkim jest większego formatu i obszerniejszy. Ale za to dociera do bibliotek z jeszcze większym opóźnieniem. Od 1 stycznia do 1 lipca 1951 r. nadeszła do bibliotek tylko jeden numer (styczeń-luty).

3. Artykuły tak w „Poradniku” jak w „Bibliotekarzu” są zbyt jednostronne, mówiące jak zażyte, prowadzące, urzędowe itp. Są więc formalne i dotyczą głównie szczegółów technicznych. Mało w nich jest natomiast powiązania z praktyką, z terenem. Mało tu rzeczywiście informacji o faktycznym stanie bibliotek i czytelnictwa — na jakie trudności bibliotekarze napotykały w swej pracy? Jak się przyczynia hamujące właściwy rozwój bibliotek i czytelnictwa? Kto to są ci bibliotekarze gminni, powiatowi, punktowii (kierownicy punktów bibliotecznych — gromadzkie)? Jakże są ich warunki pracy, życia? Na te pytania chciałoby się znaleźć odpowiedź w prasie bibliotekarskiej. A tu jak na żółć dają nam do zrozumienia, że firanki w bibliotece „zrobią” czytelnika.

Pisma bibliotekarskie powinny ponadto walczyć o autorytet bibliotek wiejskich, o pełne rozumienie ich społeczno — wychowawczych funkcji.

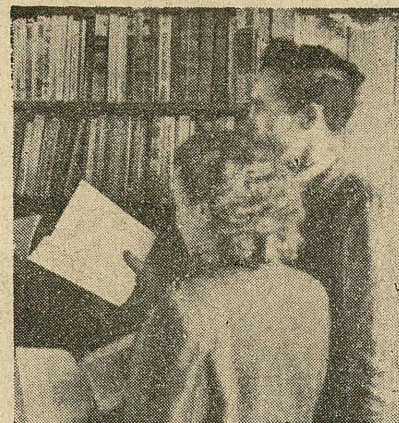
A tymczasem?... Oto w miasteczku Radzyna, pow. Leszno z poborów dla kierownika Miejskiej Biblioteki Publicznej optacja się częściowo sprzątała lokali Prezydium. W miejscowości Krzywin Biblioteka Miejska posiada tylko jedną szafę i to tak ciasną, iż nie sposób jest bibliotekarzowi w niej pomieścić książek. Część księgozbioru trzyma więc w paczkach. A oto w powiecie gostyńskim sekretarz GRN, gdy w lokalu Gminnej Biblioteki znajduje się większa ilość czytelników, odwołuje akurat bibliotekarkę do innej pracy, nie pozwalając jej obsłużyć przybyłych czytelników.

Na ogół trzeba powiedzieć, że zainteresowanie, współpraca i pomoc ze strony miarodajnych czynników terenowych, oświatowych, organizacji dla bibliotek i bibliotekarzy jest wszędzie jeszcze niska, niewystarczająca, albo w ogóle jej nie ma. — Bibliotekę uważa się za „piątę koło...”, a bibliotekarza za kogoś, co darmo pobiera wynagrodzenie.

Toteż uważamy, że w tej chwili zachodzi potrzeba wydawania — okazalszego, w większym formacie, ilustrowanego — czasopisma, poświęconego sprawom bibliotek i czytelnictwa. Pismo wzięłoby na siebie przede wszystkim ogromny trud walki o należyte funkcjonowanie i rozwój bibliotek. Byłoby nie tylko poradnikiem, ale i reprezentantem (tysięcy bibliotek i milionów tomów), obrońcą, bojownikiem o wielkie sprawy biblioteczne i czytelnictwa, przeciwnym nie tylko dla bibliotekarzy, lecz i dla czytelników. Wydawanie takiego pisma staje się tym bardziej konieczne, jeżeli wziąć pod uwagę liczne, coraz liczniejsze zadania bibliotek publicznych.

Ośmielam się wysunąć projekt, by takie czasopismo stworzyć — z połączenia „Poradnika Bibliotekarza” z „Bibliotekarzem”, a jako dodatek bibliograficzny dodać „Nowe Książki”.

A. Kowol — Marcinek Bibliotekarz gminny



A. KOWOL — MARCINEK

O pomoc dla czytelnika

NIEDAWNO odbyła się w Lesznie Wlkp. odprawa robocza kierowników bibliotek gminnych z trzech sąsiednich powiatów, na której ciekawy referat na temat co dają bibliotekarzowi czasopisma biblioteczne i jak winien z nich korzystać wygłosił kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Świeciechowie, ob. Konieczna. Z referatu wynikało, że czasopisma biblioteczne: „Poradnik Bibliotekarza” (miesięcznik), „Nowe Książki” (miesięcznik, czysto bibliograficzny) oraz „Bibliotekarz” (dwumiesięcznik), wraz z „poradnikiem”, wydawane przez Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, są wielce pomocne bibliotekarzowi w jego pracy, w jego walce — o nowego czytelnika. W dyskusji na ten temat stwierdzono, że pomoc tych czasopism jest niewątpliwie duża, lecz byłaby jeszcze większą gdyby:

1. czasopisma te regularnie i na czas przychodziły do bibliotek. Tymczasem przychodzą jak chcą, a w rezultacie zamieszczane w nich artykuły tracą na aktualności.

2. „Poradnik Bibliotekarza”, to pismo o bardzo skromnych rozmiarach, z wyglądu mało efektowne, nikogo, poza bibliotekarzem nie zachęci do nabycia go i przejrzania. Zamieszczony materiał nie jest wystarczający, nie wyczerpuje zagadnienia bibliotek i czytelnictwa, gdyż na dłuższe artykuły nie ma miejsca.

Nieco lepiej prezentuje się czasopismo „Bibliotekarz” (dwumiesięcznik). Przede wszystkim jest większego formatu i obszerniejszy. Ale za to dociera do bibliotek z jeszcze większym opóźnieniem. Od 1 stycznia do 1 lipca 1951 r. nadeszła do bibliotek tylko jeden numer (styczeń-luty).

3. Artykuły tak w „Poradniku” jak w „Bibliotekarzu” są zbyt jednostronne, mówiące jak zażyte, prowadzące, urzędowe itp. Są więc formalne i dotyczą głównie szczegółów technicznych. Mało w nich jest natomiast powiązania z praktyką, z terenem. Mało tu rzeczywiście informacji o faktycznym stanie bibliotek i czytelnictwa — na jakie trudności bibliotekarze napotykały w swej pracy? Jak się przyczynia hamujące właściwy rozwój bibliotek i czytelnictwa? Kto to są ci bibliotekarze gminni, powiatowi, punktowii (kierownicy punktów bibliotecznych — gromadzkie)? Jakże są ich warunki pracy, życia? Na te pytania chciałoby się znaleźć odpowiedź w prasie bibliotekarskiej. A tu jak na żółć dają nam do zrozumienia, że firanki w bibliotece „zrobią” czytelnika.

Pisma bibliotekarskie powinny ponadto walczyć o autorytet bibliotek wiejskich, o pełne rozumienie ich społeczno — wychowawczych funkcji.

A tymczasem?... Oto w miasteczku Radzyna, pow. Leszno z poborów dla kierownika Miejskiej Biblioteki Publicznej optacja się częściowo sprzątała lokali Prezydium. W miejscowości Krzywin Biblioteka Miejska posiada tylko jedną szafę i to tak ciasną, iż nie sposób jest bibliotekarzowi w niej pomieścić książek. Część księgozbioru trzyma więc w paczkach. A oto w powiecie gostyńskim sekretarz GRN, gdy w lokalu Gminnej Biblioteki znajduje się większa ilość czytelników, odwołuje akurat bibliotekarkę do innej pracy, nie pozwalając jej obsłużyć przybyłych czytelników.

Na ogół trzeba powiedzieć, że zainteresowanie, współpraca i pomoc ze strony miarodajnych czynników terenowych, oświatowych, organizacji dla bibliotek i bibliotekarzy jest wszędzie jeszcze niska, niewystarczająca, albo w ogóle jej nie ma. — Bibliotekę uważa się za „piątę koło...”, a bibliotekarza za kogoś, co darmo pobiera wynagrodzenie.

Toteż uważamy, że w tej chwili zachodzi potrzeba wydawania — okazalszego, w większym formacie, ilustrowanego — czasopisma, poświęconego sprawom bibliotek i czytelnictwa. Pismo wzięłoby na siebie przede wszystkim ogromny trud walki o należyte funkcjonowanie i rozwój bibliotek. Byłoby nie tylko poradnikiem, ale i reprezentantem (tysięcy bibliotek i milionów tomów), obrońcą, bojownikiem o wielkie sprawy biblioteczne i czytelnictwa, przeciwnym nie tylko dla bibliotekarzy, lecz i dla czytelników. Wydawanie takiego pisma staje się tym bardziej konieczne, jeżeli wziąć pod uwagę